PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 650

nadodrze

ZIELONA GÓRA 24 VII — 6 VIII 1988 R.
ROK XXXII NR 15 [672] CENA 40 ZŁ
DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

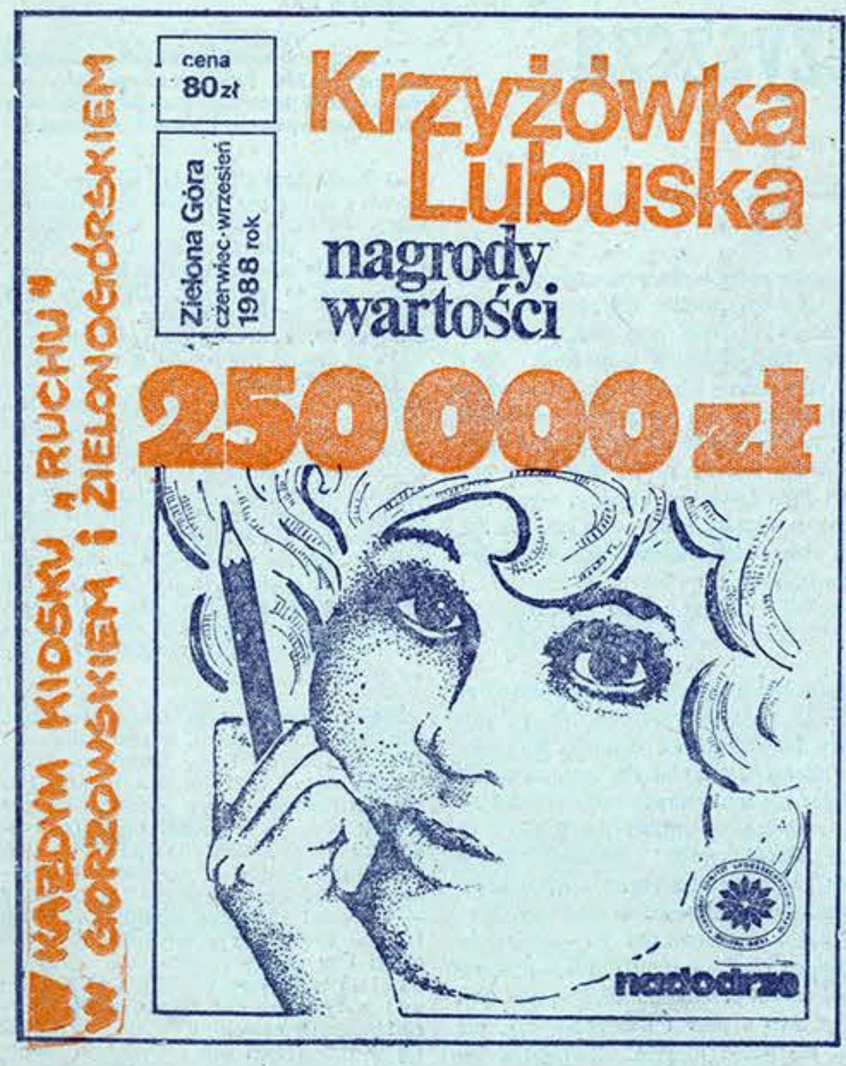

WSPOMNIENIA GWIAZD ROCKA

KONKURS WAKACYJNY

SCENY MIŁOSNE

Fot.: Lazar Rianu (Rumunia) — „Sound of music" z wystawy „Interfoto '88" (czyt. str. 6)

Brylant w majtkach czyli jak polubić celników

Z WERONIKĄ MICHALAK naczelniczką Działu Karnego Skarbowego w Urzędzie Celnym w Rzepinie rozmawia Halina Ańska.

— Ludzie celników nie lubią.

— To zrozumiałe. Spotykają się z nimi w sytuacji stresowej. Kontrola paszportowa, kontrola celna. Nie jest to przyjemne. Sam fakt przekraczania granicy jest stresujący, nawet gdy się jest w najlepszym porządku. Sama tego doświadczyłam.

— Jacy ludzie trafiają do tego zawodu?

— Różni. Tak samo, jak do innych.

— Sądzę jednak, że aby zostać celnikiem, trzeba mieć specjalne predyspozycje. Dodam, że niezbyt... sympatyczne.

— Wie pani, co potrzebne jest przede wszystkim? Otóż nerwy jak postronki! Celnik musi być cierpliwy, spokojny, opanowany! To są cechy nieodzowne. Przepisów można się nauczyć. Cierpliwość trzeba mieć wrodzoną. O uczciwości nawet już nie wspominam, gdyż jest ona dla celnika świętym przykazaniem.

— Podróżny, zwłaszcza ten z zagranicy, częstuje celników czekoladą lub papierosami. Sama widziałam.

— Tak, ludzie czasem wciskają coś na siłę. I rzeczą celnika jest, czy weźmie, czy nie. A jeśli weźmie, to biada mu.

— To znaczy?

— Pewna podróżna wetknęła celniczce paczkę kawy i dwa banany. Prokurator wysunął zarzut przyjęcia korzyści materialnych. Podczas przewodu wykazano, że był to tylko poczęstunek, a nie wynagrodzenie za coś i sąd sprawę umorzył. Podobne stanowisko zajął sąd pracy. Mimo to celniczka ta musiała odejść. Tak się więc to kończy.

— Z drugiej strony jesteście podobno przywiązani do pracy w sposób niemal feudalny.

— Co pani ma na myśli?

— Słyszałam, że celnik, który ukończy kursy zawodowe, a potem chce się zwolnić z pracy, musi zwracać koszty nauki, ponoć bardzo wysokie.

— To prawda. Kandydat na celnika musi mieć co najmniej średnie wykształcenie. Następnie kierowany jest do szkoły w Świdrze. Nauka wraz z egzaminami jest bezpłatna. Ale gdy potem ktoś chciałby z wykonywania zawodu zrezygnować, musi ponieść koszty kształcenia.

— Mówił mi ktoś o kwocie pół miliona złotych.

— Pamiętam, że gdy przed laty chciała odejść jedna z koleżanek, obliczono jej do zwrotu 60 tysięcy zł. Nie wiem, jakie duże są te koszty teraz.

— Z tego wniosek, że celnicy rzadko zmieniają pracę.

— Powiem o sobie. Pracuję tu 30 lat. Nie pracowałam przedtem nigdzie. Zaczęłam jako jedna z pięciu kobiet. Obecnie wśród ponad trzystu pracowników w naszym Urzędzie Celnym, kobiety stanowią około 30 procent.

— Kobieta ma miękkie serce, jest skłonna do współczucia, płacze na widok cudzych łez, wzrusza się, gdy ktoś prosi, wierzy, gdy ktoś zapewnia. Jest to, jak widać na przykładzie celniczek stereotyp wymyślony dla zmylenia mężczyzn.

— Ale celniczki mają także do czynienia z kobietami! Kobiety również podróżują.

— I jak słyszę, wykazują wielką pomysłowość w ukrywaniu przedmiotów objętych zakazem wywozu.

— U pewnej bardzo eleganckiej pani zauważono, że z pięknych i drogich majteczek zwisa... sznurek. Poproszono lekarza i przy jego udziale udaremniony został przemyt złota. Sznurek prowadził do związanej ciasno prezerwatywy, którą pani ta ukryła w intymnym miejscu. Prezerwatywa dosłownie wypchana była drogocenną biżuterią. Inna pani, która również w tym miejscu ukryła woreczek ze złotem, sama wyznała to celnikom, prosząc z płaczem o wezwanie ginekologa, gdyż nagle poczuła się bardzo źle. Kobiety chowają pieniądze do majtek i staników. Pomysłowości nie brakuje również panom. Pewien podróżny ukrył banknot dolarowy w ustach, pod... protezą.

Ciąg dalszy na str. 4

opinie i refleksje

PARTNER SOJUSZNIK PRZYJACIEL

Wizyta Michaiła Gorbaczowa w naszym kraju miała wymiar daleko wykraczający poza stosunki polsko-radzieckie. To był nie tylko w polityce wielki tydzień. Świat fascynuje się tym, co od trzech lat przy otwartej kurtynie dzieje się w radzieckim supermocarstwie, a czego głównym architektem jest M. Gorbaczow, polityk najwyższego formatu, który miał odwagę z kilkoma swoimi współpracownikami skierować na nowe tory „lokomotywę dziejów". To jest fakt, któremu nikt już dziś nie przeczy.

„Pieriestrojka, jak wiadomo, zaczęła się od góry, od tych dziesięciu czy dwunastu członków Biura Politycznego i Sekretariatu KC, którzy zdecydowali w marcu 85 r. wybrać Michaiła Gorbaczowa sekretarzem generalnym partii. *„Trzeba powiedzieć całą prawdę: były to niespokojne dni* — stwierdził Jegor Ligaczow na XIX Konferencji polemizując z Borysem Jelcynem, „kaskaderem pieriestrojki" — *Znajdowałem się w centrum tych wydarzeń, więc mogę to ocenić. Mogły zostać podjęte absolutnie inne decyzje."*

W siedemdziesięcioletnich dziejach budowania socjalizmu była to z pewnością jedna z najważniejszych decyzji. Dla socjalizmu, żeby go odrodzić, odmłodzić, zawrócić do leninowskich źródeł, był to przecież ostatni dzwonek. I tę szansę dostrzeżono. Nic więc dziwnego, że M. Gorbaczow stale podkreśla, czynił to także podczas wizyty w Polsce, że pieriestrojka dotyczy w Związku Radzieckim wszystkiego i wszystkich, także sekretarza generalnego. Każdy i wszystko podlega krytyce. Przebudowa jest procesem ciągłym, długim, niezwykle skomplikowanym, mającym zwolenników i przeciwników, o czym można się przekonać podróżując po Związku Radzieckim, a na jej efekty przyjdzie poczekać.

Na początku naszego wieku bolszewicy z Leninem zasiali idee, które wkrótce nie tylko wstrząsnęły Rosją, ale całym światem. Bez Rewolucji Październikowej i jej dzieła — Związku Radzieckiego świat dzisiaj byłby przecież inny, inny byłby kapitalizm. A działo się to wszystko w Rosji, której Rewolucja miała przynieść także żarówkę. Lenin budowę komunizmu, jak pamiętamy, uzależniał od władzy radzieckiej i elektryfikacji kraju. Socjalizm, nawet ten skażony stalinowskim jadem, uratował przecież Europę, a może i świat, od największego w ludzkich dziejach nieszczęścia.

W marcu 85 r. na Kremlu zdano sobie sprawę, że socjalizm, aby był ustrojem znowu zdolnym przeobrażać świat, nawet przez samo istnienie w jakiejś części globu, musi znów sformułować nowe idee, na miarę tamtych, leninowskich. Wiele tych idei wysunęło radzieckie kierownictwo słowami nie tylko Michaiła Gorbaczowa. Jedną z nich jest najpiękniejsza, fascynująca miliardy ludzi, idea świata bez broni, bez przemocy, wysunięta przez radzieckie kierownictwo w styczniu 1986 r. i przypomniana w ostatnim polsko-radzieckim oświadczeniu podpisanym przez W. Jaruzelskiego i M. Gorbaczowa. Idea fantastyczna, jakby wyjęta z jakiejś cudownej baśni, a jak dowodzą ostatnie miesiące, możliwa do spełnienia. Tę ideę z szansami na jej urzeczywistnienie wysunięto w jakże odmiennej, od tej z początków naszego stulecia, epoce cywilizacyjnej, do której przecież także, choć nie wykorzystał wielu swoich szans, przyczynił się socjalizm, o czym zafascynowani nadmiarem dóbr wytwarzanych na Zachodzie często zapominamy. Świat doszedł przecież do punktu, w którym nawet przez zwykły przypadek, czego dowiodła katastrofa w Czernobylu, może się unicestwić. Wielki, polityczny tydzień w Polsce jeszcze raz dowiódł, że jest szansa, aby nigdy to nie nastąpiło.

M. Gorbaczow złożył u nas wizytę niemal nazajutrz po zakończeniu XIX Konferencji KPZR, gdzie idee pieriestrojki i głasnosti uzyskały prawo obywatelstwa, stały się nieodwracalne. Zarysowano wizję socjalizmu jako ustroju prawdziwie humanistycznego, demokratycznego, ustroju społecznej sprawiedliwości, praktycznie uosabiającego ogólnoludzkie, a nie tylko klasowe, ideały i wartości. Ustroju, który umożliwi szczęśliwe i zasobne życie każdemu pracującemu człowiekowi. To jest cel radzieckiej pieriestrojki i polskiej przebudowy.

JACEK WOCH

Z prasy radzieckiej

„Prawda oczyszcza"

Prof. dr gen. Dmitrij Wołkogonow jest naczelnikiem Instytutu Historii Wojskowości Ministerstwa Obrony ZSRR, autorem oczekującej na publikację pierwszej w ZSRR biografii politycznej Stalina. Dziennik związkowy TRUD (nr 140/1988) opublikował wywiad z D. Wołkogonowem, zatytułowany „Prawda oczyszcza", którego fragmenty publikujemy.

— Wydaje mi się, iż w rozwiązywaniu problemów odnowy zajmuje dziś ważne miejsce prawdziwe odczytanie wszystkich kart historii ojczystej, którą ludzie znają na razie, niestety, słabo. Historia to pamięć narodu, dająca możliwość prawdziwej wiedzy o przeszłości, niezbędna do stworzenia tego, co konieczne. Prawda oczyszcza, choć nierzadko powoduje ból. A ból ten może być ostry i długotrwały...

— Pisze Pan o tym w swojej książce?

— Tak, zajmuję się obecnie książką „Triumf i tragedia" poświęconą najbardziej, z pewnością, dramatycznym kartom historii radzieckiej — czasem władzy Stalina. Usiłuję przeanalizować zarówno osobowość samego Stalina i źródło jego myśli oraz czynów, jak i przyczyny „cezaryzmu", niewyobrażalnych represji, które spadły na partię i naród. Usiłuję zrozumieć lekcję triumfu i tragedii z lat 20-tych — 40-tych. Chcę pokazać, w jaki sposób triumf jednego człowieka może stać się tragedią dla całego narodu.

Od XX zjazdu KPZR, który po raz pierwszy postawił kwestię zgubnych następstw kultu Stalina i nakreślił drogi jego przezwyciężenia, minęło już ponad 30 lat. Niestety, nasz naród wielu rzeczy nie dowiedział się do końca.

Moim zdaniem, stalinizm, kult osoby wodza i wypaczenia socjalizmu nie były wcale konieczne, nie stanowiły czegoś fatalistycznego. Już pierwszy krok, który można było zrobić, uwzględniając postulat Lenina w liście do zjazdu o przesunięciu Stalina ze stanowiska sekretarza generalnego, mógłby — jak się wydaje — uchronić nas przed późniejszymi wydarzeniami, które pozostawiły broczącą krwią ranę w duszy narodu. Gdyby natomiast zostały rozwinięte demokratyczne podstawy życia partii i państwa, pozostawione w testamencie przez Ilicza (przede wszystkim, określono, na przykład, przez jaki czas można zajmować stanowisko sekretarza generalnego), gdyby wcielony został w życie mechanizm zmiany władzy, kontroli, wybieralności, sprawozdawczości i najszerszej demokratyzacji, co postulował Lenin, to — myślę — o żadnym bezprawiu nie mogłoby być mowy.

Niekiedy mówi się, że ze Stalinem „zwyciężyliśmy", „zbudowaliśmy", „zrobiliśmy". Oczywiście, byłoby głupotą negować, że osiągnęliśmy wiele w tworzeniu potężnego przemysłu, nowych stosunków produkcyjnych i nowej kultury. Mimo deformacji i bezprawia tamtych lat, socjalizm wykazał swoje walory i w minionej wojnie, i w wielu innych dziedzinach. Mimo wszystko jednak jestem przekonany, że i zwyciężylibyśmy, i zbudowalibyśmy, i zrobilibyśmy, tyle tylko że więcej, przy mniejszej daninie krwi, z mniejszymi wyrzeczeniami również bez Stalina i stalinizmu. Tylko ogromny czysty ładunek Październik... pozwolił zachować główne wartości socjalizmu w czasie rozpętanego terroru stalinowskiego.

Weźmy, na przykład, tezę, iż zwyciężyliśmy dzięki Stalinowi. A oto fakty. W przededniu wojny represjonowano wszystkich dowódców okręgów, prawie połowę dowódców korpusów i dywizji. Od 1 maja 1937 roku do 1 września 1938 zlikwidowano prawie 40 tys. ludzi wchodzących w skład wyższego i średniego ogniwa dowódczego Armii Czerwonej. Jeśli dowódcę plutonu można przygotować w ciągu co najmniej sześciu miesięcy, a właśnie taki okres przeznaczano na to nawet w najcięższych momentach wojny, to ileż trzeba czasu, żeby przygotować dowódcę dywizji, dowodzącego armią czy frontem? Naszymi armiami i dywizjami dowodzili niekiedy ludzie bez należytego doświadczenia i wiedzy. Wielu pokazało się z najlepszej strony, ale jakich trzeba było ofiar i ile krwi to kosztowało! Nie mówię już o niepowtarzalnej wartości samego życia ludzkiego.

— A idee tych ludzi?

— Tak, ginęli nie tylko ludzie, lecz często również ich idee. W ogóle muszę powiedzieć, że w latach 30-tych nasza wojskowa myśl teoretyczna była na wysokim poziomie. Swieczin, Triandafiłow, Tuchaczewski, Isserson i wielu innych teoretyków głosiło bardzo postępowe na owe czasy idee, związane z wojną manewrową, z aktywną obroną, z wykorzystaniem wielkich ilości czołgów.

Wiadomo, iż w przededniu wojny Stalin trzykrotnie rozpatrywał plan obrony kraju. Sekretarz generalny odrzucał go dwa razy. Dlaczego? Dlatego, iż sztab generalny zakładał, że główne uderzenie będzie na kierunku zachodnim, po najkrótszej drodze do Moskwy. Stalin natomiast wychodził ze swoich poglądów z okresu wojny domowej i zmuszał do przerobienia planu. Główny kierunek uderzenia został przewidziany na odcinku południowym. Pociągnęło to za sobą zmiany w rozmieszczeniu wojsk i koncentrację wysiłków nie na tych kierunkach, gdzie było to niezbędne. Później, w 1942 r. Stalin popełnił podobny błąd. Tym razem na jego naleganie wojska zostały skoncentrowane na kierunku zachodnim, zaś hitlerowcy uderzyli właśnie w kierunku Kaukazu, na południu... Oto ile był wart „geniusz" strategiczny przyszłego generalissimusa. Tak, w 43 r. i później Stalin nie popełniał już takich pomyłek, ale to nie tylko jego zasługa, lecz wszystkich najwyższych organów dowodzenia.

Były również błędy polityczne. Stalin nie wierzył do ostatniego momentu, że Hitler napadnie na nasz kraj. Tydzień przed 22 czerwca mówił on, iż wojna — przynajmniej do przyszłej wiosny — jest mało prawdopodobna. Mimo, iż dysponował wszelkimi danymi od wywiadu, od dyplomatów i od uciekinierów, świadczącymi o czymś wprost przeciwnym. Smutnej sławy oświadczenie TASS z 14 czerwca, dezorientujące nie tyle faszystów, ile ludzi radzieckich, miało bardzo konkretny cel — sprowokować Hitlera do nowych rozmów. A te zaś można by było przeciągać. Czerwiec, lipiec... W sierpniu faszyści wojny nie zaczną, bo zima blisko. Jednakże w tych sprawach Hitler był zorientowany nie gorzej od Stalina. Nie dał się złapać na tę przynętę.

— A pakt o nieagresji między ZSRR i Niemcami? K. Simonow w uwagach „Oczami człowieka mojego pokolenia" pisze o zamieszaniu jakie wywołał on w narodzie. Do tej pory stosunek do tego porozumienia nie jest jednoznaczny. Czy był to błąd, czy wprost przeciwnie, mądry krok polityczny?

— Rzeczywiście, po dziś dzień jest bardzo wielu krytyków tego paktu. Zwłaszcza za granicą. Wielu ludzi twierdzi, iż otworzył on drogę do II wojny światowej, że było to zdradzenie Zachodu. Ja natomiast myślę, że prawda winna być ponad wszystko. Potępiając Stalina za wiele rzeczy, musimy powiedzieć, iż jego główny cel — odsunięcie wojny — był słuszny. Robił on wiele dla osiągnięcia tego, choć mocno mylił się w środkach. Nie należy również zapominać o tym, że pakty o nieagresji z Niemcami zawarły przed nami Polska i kraje zachodnie. Nie my torowaliśmy w tym drogę. Przecież my proponowaliśmy utworzenie systemu bezpieczeństwa zbiorowego. Ale odrzucono to. Odbyły się rozmowy Stalina z polskim ambasadorem, w których chodziło o wyrażenie zgody na przemarsz naszych wojsk na granicę polsko-niemiecką dla zagwarantowania polskiego przecież bezpieczeństwa, z którym związane było i nasze bezpieczeństwo. Nastąpiła jednak odmowa

Tak więc, mimo iż pakt ten wygląda podejrzanie z moralnego punktu widzenia, niemniej odegrał on swoją rolę i wojna została nieco odsunięta. Natomiast prawdziwy i niewybaczalny błąd popełniono miesiąc później — 28 września. Znowu w Moskwie, znowu Mołotow i Ribbentrop w obecności Stalina podpisali — proszę pomyśleć tylko, co za nazwa — pakt „O przyjaźni i granicach". Pakt o przyjaźni... Z Niemcami faszystowskimi. Tu już nie trzeba niczego komentować, bo i tak wszystko wygląda w najwyższym stopniu jak świętokradztwo.

Właśnie wówczas Hitler poczuł, że Stalin jest gotów iść na wszelkie ustępstwa, byle tylko nie dopuścić do wojny. Stał się jeszcze bardziej bezczelny. Porozumienie „O przyjaźni" zdezorientowało fronty ludowe, siły antyfaszystowskie, partie komunistyczne i Komintern. Znaleźliśmy się w głębokiej izolacji międzynarodowej. Faktycznie tego typu niemoralność w wyborze środków — główna cecha Stalina — przyniosła rezultaty odwrotne do zakładanych. Hitlera zachęcono, siły antyfaszystowskie zostały zdemoralizowane i zaszkodziliśmy obliczu moralnemu naszego kraju. Wszystko to odbiło się również na przebiegu wojny.

— A czy sam Stalin rozumiał, choćby post factum, że popełnia błędy? Czy też faktycznie uważał siebie za nieomylnego? W ogóle jaka była, Pana zdaniem, psychologia tego człowieka?

— Wojna zmieniła Stalina dość zasadniczo. Stał się bardziej „ziemski" i opadła z niego „boskość". Poczuł, że może się mylić i to katastrofalnie. Stalin stał się, jeśli można wobec niego zastosować to słowo, prostszy, poczuł, że tylko od bliskości kierownictwa i narodu, od maksymalnej mobilizacji wszystkich jego sił duchowych i fizycznych zależy „być albo nie być" nie tylko naszego państwa, ale również jego samego. Chociaż po zwycięstwie znowu stał się „samym sobą".

Ogólnie rzecz biorąc, psychologia tego człowieka była, delikatnie mówiąc, bardzo niezwykła. Na przykład, Stalin uwierzył bezgranicznie papierowi. Jeśli mu pokazano jakikolwiek dokument świadczący, że ten czy ów jest wrogiem ludu, to z reguły w to wierzył. Nie można prawie znaleźć przypadku, żeby odrzucił jako fałszywy, naiwny, wymyślony czy po prostu prowokacyjny, jakikolwiek donos. Zamiłowanie do papierów, aparatu, systemu biurokratycznego i hierarchii to jedna z cech psychologicznych Stalina.

Stalin był niezwykle skrytym człowiekiem. Wielu usiłowało odgadnąć jego opinie. Niektórym się to udało. Na przykład Beria wyróżniał się tym, że umiał częściej niż inni odgadywać i chlubił się tym, mówiąc, że „myśli jak Stalin". W ogóle jednak „wódz" ukrywał nawet przed swoimi najbliższymi współpracownikami swoje prawdziwe zamiary. Kiedy Stalin zmierzał do jakiegokolwiek wielkiego celu, to szedł długo, ostrożnie i maleńkimi krokami. Był przy tym wyjątkowo uparty i konsekwentny, nie cofał się przed niczym. Zwłaszcza w walce o władzę, o przeforsowanie jakiejś swojej idei.

Ogólnie, rzecz biorąc, jestem przekonany, iż właściwości psychologiczne tego człowieka tłumaczy przede wszystkim fakt, że był on dogmatykiem... Uważał za zupełnie naturalne, że wyznając marksizm-leninizm, to wszystko, co mówi, jest prawdą ostateczną. Spróbujcie przeczytać dowolną większą pracę Stalina — często cytuje on samego siebie. Przy tym cytaty uważane są już za klasyczne, niezmienne i absolutnie słuszne. On je tylko komentuje.

Równocześnie Stalin był w głębi duszy bardzo samotny. Wyobraźcie sobie despotę, który nie ma się z kim spierać, nie ma się przed kim usprawiedliwiać, nie ma komu wyjaśniać i kogo przepraszać. Co by nie powiedział, to od razu staje się „wielkie, genialne i niepowtarzalne".

Mimo wszystko jednak, bez względu na racjonalny, chytry, podstępny, nie pozbawiony — rzecz zrozumiała — praktycznego wyrachowania umysł, Stalin był jedynie popularyzatorem teorii. Nie znał on ekonomii politycznej, chociaż napisał „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR". (Nawiasem mówiąc praca nie była wykonana przez niego). Jeszcze trudniej przychodziła Stalinowi filozofia. Ma on, co prawda, na swoim koncie pracę „Marksizm i anarchizm", która jest prymitywna. Stalin nie był w stanie pokazać się jako oryginalny teoretyk, taki jak na przykład Bucharin, który wysuwa oryginalne idee, mimo iż czasem sporne, a niekiedy błędne. W latach 20-tych 2-3 razy w tygodniu zaczęli do Stalina przychodzić profesorowie z Akademii Przemysłowej i Akademii Komunistycznej i dawali mu lekcje, które nazywały się oficjalnie konsultacjami. Jeden ze znanych filozofów, Sten, pracował z nim zgodnie z programem, według którego zamierzał zapoznać Stalina z filozofią klasyczną, z pracami Hegla, Kanta, Feuerbacha i Fichtego. Jednakże mózg tego byłego wychowanka seminarium duchownego nie był przygotowany na przyjęcie tak skomplikowanego materiału. W latach 30-tych Sten zniknął bez śladu...

Stalin był wielkim obłudnikiem. Powiedziałbym nawet, zdolnym aktorem. Umiał wspaniale grać role „ojca narodu", „dowódcy" czy „przywódcy". Przy ludziach zwykle nie ujawniał swoich brutalnych cech. Wystarczyło jednak, na przykład, że pewnego razu Ryczagow, dowódca sił powietrznych, nie podzielił poglądu „wodza" na temat wysokiej awaryjności, i po tygodniu zniknął na zawsze. Nawet najbliższy pomocnik, który przepracował ze Stalinem ponad dwadzieścia lat, Poskrebyszew, padł ofiarą stalinowskiej machiny represji. Decyzją Berii żona Poskrebyszewa została aresztowana. Nie pozwolono jej nawet napisać listu. Mimo że Poskrebyszew na kolanach błagał Stalina o ułaskawienie jej, zapewniając, że ze swoją trójką dzieci nie może ona być szpiegiem, „wódz" pozostał niewzruszony. Powiedział jedynie, iż wszystkim zajmuje się NKWD, on nie ma z tym nic wspólnego i „nic zrobić nie może"...

Nawiasem mówiąc, spotkałem przypadek, kiedy Stalin ułaskawił człowieka. W jednym z cotygodniowych raportów dla Stalina o wyrokach śmierci, które były podpisywane przez Wyszyńskiego i Ulricha, stwierdzono, iż niecelowe jest rozstrzeliwanie jednego ze skazanych, ponieważ jest on beznadziejnie chory na raka. Stalin napisał decyzję „zgadzam się"...

— A co reprezentowało sobą otoczenie Stalina? Jakie, Pana zdaniem, były cechy osobiste tych ludzi, stopień ich wierności leninowskim ideom i zasadom?

— Przez trzydzieści lat naszym państwem i naszą partią kierował człowiek, który w istocie rzeczy nie miał żadnych głębokich profesjonalnych podstaw. Praktycznie nie miał on nawet specjalności. Był to człowiek, który nie znał dobrze ani życia robotnika, ani chłopa. Faktycznie, z niezwykle rzadkimi wyjątkami, Stalin nie bywał w kołchozach, w fabrykach i na frontach. Wielu ludzi z jego otoczenia było takich samych. Nie przypadkowo przeżyliśmy wówczas rozkwit „ludowych akademików" z wykształceniem gimnazjalnym, ale z doskonale wyuczoną „frazeologią rewolucyjną". Jednym słowem liczni ówcześni „wodzowie" nie znali życia prawdziwych robotników. Na przykład Mołotow ukończył szkołę realną i w istocie rzeczy nie miał praktyki produkcyjnej. Malenkow, nieukończony student, dał się poznać jako sekretarz techniczny. Kaganowicz jako szewc.

Stalin dobierał sam swoje otoczenie. Nie było przypadkiem, że pod koniec lat 30-tych spośród tych, którzy za życia Lenina zostali wybrani na członków Biura Politycznego, żywy pozostał jedynie Stalin. Wszyscy pozostali zostali zlikwidowani jako „wrogowie ludu". W tym przypadku Stalin — wyjątkowo przebiegły człowiek, podstępny i pamiętliwy — kierował się starą zasadą dyktatora. Usuwał tych, którzy wiedzieli, jaki był przed i w czasie rewolucji, a wysuwał na czoło tych, którzy jemu, a jeszcze lepiej wszystkim, coś zawdzięczali. Przecież podczas rewolucji Stalin znajdował się w dziesiątym czy piętnastym szeregu leninowskiej gwardii... Gdyby ktokolwiek powiedział Stalinowi jeszcze w Turchansku w 1917 roku, że za 5-6 lat stanie się jednym z pierwszych ludzi kolosalnego państwa, on sam z pewnością uznałby to za głupi żart... Stalin walczył dalej z cieniami. Uruchomiona w swoim czasie machina bezprawia wymagała w dalszym ciągu, by do jej kotła wrzucać ofiary — żywe, a nawet martwe.

— Czy rzeczywiście nikt w partii nie mógł powstrzymać człowieka, który samego siebie ogłosił jedynym panem losów ludzkich?

— Przede wszystkim nie należy negować, że w codziennej świadomości mas Stalin samą swoją osobą utożsamiał socjalizm. Uczynił samego siebie symbolem socjalizmu. I w istocie rzeczy wszystko co robił, stawało się od razu i jednocześnie linią oficjalną, rozumianą przez wszystkich jako wola partii i wola narodu. Dlatego bardzo trudno było z nim walczyć, chociaż byli, oczywiście, ludzie, którzy czuli, że popełniane są straszliwe błędy i przestępstwa. Jednakże każdy człowiek, który spróbowałby powiedzieć o tym, zostałby rzeczywiście oceniony jako przeciwnik socjalizmu.

To jedna strona. A oto druga. Ona mnie niepokoi najbardziej jako naukowca. Nawet w najtrudniejszej i nienormalnej sytuacji człowiek zawsze ma szansę dla swojego sumienia. Nawet jeśli jest to ostatnia szansa. Rozumiem, że zostałby zlikwidowany ten, kto wstałby na posiedzeniu Biura Politycznego, na Plenum KC, na zjeździe czy na jakiejkolwiek wielkiej naradzie i powiedziałby: „Towarzyszu Stalin, co wy robicie? Czyż to są wrogowie? Dokąd my idziemy? Dlaczego topór terroru zawisł nad najlepszymi członkami naszej partii, nad gwardią leninowską?". Można zakładać, że ta odwaga sumienia nie przeszłaby bez echa, ponieważ wystąpienie stałoby się znane partii. Tymczasem jednak z szansy ujawnienia tych cech, szansy sumienia, korzystano rzadko. Wprost przeciwnie, zrodziła się atmosfera opartych na strachu donosów, podejrzliwości i wzajemnej nieufności. A wszystko to było przepojone dytyrambami pod adresem wodza...

Oczywiście, znamy wielu ludzi, którzy znajdowali odwagę, by mówić prawdę, to co myślą o tym wszystkim. Gdybyż tak wszyscy zdecydowali się na skorzystanie z szansy swojego sumienia! W ostateczności kult tworzył nie tylko sam Stalin, tworzyli go inni, otoczenie. W tym sensie odpowiedzialność za to ponosimy wszyscy. Dlatego, że, jeśli mówić o decydującej roli mas ludowych, to nie jest to przecież pojęcie abstrakcyjne. Rola ta przejawia się nie tylko w „ostatecznym rozrachunku", ale również w zdolności wyrażenia swojego zbiorowego stosunku do tych zjawisk, które wdzierają się w nasze wyobrażenia o wartościach, w nasze ideały.

OBÓZ

DARIUSZ MUSZER

Restauracja zarezerwowana od 13 do 15. Uczestnicy obozu ZSMP jedzą obiad. Wchodzi tatuś z synkiem. Patrzą. W końcu ojciec mówi: „Choć, Maciusiu, przyjdziemy później. Gdy komuniści skończą, będzie trochę spokoju".

„Jest miasteczko ponad rzeczką,
Sympatyczne dość miasteczko..."

Maleńkie D. rozparło się wygodnie nad jeziorem. Krzaki porastają wzgórze, z którego roztacza się widok na miasteczko. Obok mnie dwa kikuty strzelające wysoko w niebo — resztki ruin niemieckiego zamku. Trzech mężczyzn buszuje w chaszczach, pijąc wino. Niżej — taras, który ma być parkiem, ale komuś zabrakło sił na skoszenie trawy. Ławki toną w zielonej powodzi. Kieruję się ku zniszczonym, betonowym schodom. Coraz bliżej są stare, poniemieckie domy. Zawilgocone rudery o brudnych ścianach. Farba na ramach okiennych strzępi się i odpada. Jak pamięć ludzka. Całe ulice złożone z takich samych przysadzistych ruder. Jeden dom rzuca się w oczy: ktoś zdecydował się na zmianę porośniętej mchem dachówki. Pół dachu jest ceglasto-czerwone, a pół — zielone. Może to początek lepszych czasów dla wszystkich dachów?

Gdzieniegdzie widać dziury urbanistyczne, place, na których kiedyś stały domy. To pamiątki po czasach odbudowy Warszawy, na którą cegła szła z całej Polski i trzeba było rozebrać nie jeden budynek na Ziemiach Odzyskanych. Równie Rosjanie, gdy opuszczali miasto na jesieni 1945 r., pomogli historykom-specjalistom od zniszczeń wojennych. Jeszcze z ciężarówek wrzucali odbezpieczone granaty do piwnic. Wyzwoliciel też może mieć chwile słabości, szczególnie po kilku kwartach spirytusu.

Idę uliczkami w kierunku jeziora. Porośnięte chwastami „kocie łby". Chałupy podparte drewnianymi szopami, które wyglądają tak, jakby sklecono je z kawałków drewna wyrzuconego przez morze na brzeg. Każda deska z innej parafii. Kury ogrodzone zardzewiałą siatką. Wychodki z niedomykającymi się drzwiczkami. Gdzie są psy? Gdzie miejskie kundle? Dom ze świeżym tynkiem. Baranek. Zdziczałe grusze i wiśnie. Z otwartego okna bucha heavy metal „Kat". Telewizor na cały regulator. Dalej szczęk sztućców, gwar rozmów. Pieśń o Riazinie, atamanie. Zaraz potem smętne „Jak szybko mija życie". Słońce to chowa się, to zdmuchuje chmury. Kałuże. Studzienki odpływowe zapchane. Błoto, pełne końskiego nawozu błoto. Duże, nowe, niebieskie tablice na każdym budynku: ulica, numer, PGKiM. Ulice wiją się, a potem gwałtownie skręcają pod kątem prostym. Chodników brak. Stare, dębowe drzwi. Antena koło komina. Lebioda. Rzep czepia się nogawek. Jest pies, smętny i łaciaty. Leży przy czymś, co kształtem przypomina zdezelowany szapoklak. Pewnie to jego dom. Wszędzie czerwona cegła. Ściany bez tynku. Tu mieszkają przesiedleńcy. Ciągle nie mogą uwierzyć, że przybyli do D. na zawsze.

— Gdy będzie trzeba — mówi jeden z nich — państwo wybuduje nowe domy. My podlegamy pod PGKiM, co nas mogą obchodzić remonty?

— Panie, to Ukraińce. — Starszy mężczyzna w gumowcach macha ręką. — To barachło, one tak zawsze żyły, jeszcze tam, u siebie, to teraz mają inaczej?

— Nie mogę się pogodzić, że D. tak niszczeje. Za Niemca było inaczej. Ja tutejsza jestem, Polka z dziada pradziada, ale marnotrawstwa nie lubię. Taki tu był porządek, richtig płoty równe, chodniki, w ogródkach kwiaty. Teraz zielsko i połamane sztachety.

— My nie żadne Ukraińce, ani Łemki. To ludzie tak na nas mówią, ze złości. My znad Seretu, Polacy. Po co to dbać, komu to potrzeba? Znajdę deskę, to podłatam szopkę. Kurom i motocyklowi luksusów nie potrzeba. A jak się komu nie podoba, to niech nie patrzy.

Stoję nad brzegiem jeziora. Spróchniała wierzba pochylona nad tonią. Opona od traktora zanurzona w piasku, obok druga, mniejsza, z wytłoczonym napisem „Dunlop". Oczyszczone z mięsa odwłoki raków, szczypce, miejscami całe szkielety. Trucizna jest w jeziorze, kiedyś najczystszym w całym województwie. Wodę chcieli stąd ciągnąć aż do S. i G. Z rzeki też. Słońce odbija się od cienkiej warstwy nieczystości. Stoję. I wtedy chmura połknęła słońce.

„Świątek piątek, czy niedziela
Karuzela, karuzela..."

Niedziela. Południe. Stoję na rynku. Kiosk Ruchu, obok dworzec PKS z jednym stanowiskiem odjazdowo-przyjazdowym, dwie ławki w betonowej wiacie. Tuż przy kościele z ewangelickim kogutem na wieży stoi blaszany kontener: strzelnica i gry zręcznościowe. Na prawo nowoczesny dom handlowy zaprojektowany przez jakiegoś postsocrealistycznego szaleńca specjalnie dla wsi i małych miasteczek. W głównej witrynie wystawny serwis obiadowy na 13 osób. Z tyłu mam kombinat restauracyjno-kawiarniany — blokhaus równie pudełkowy jak dom handlowy — w którym raz na tydzień odbywają się dancingi, a codziennie mulą sobie żołądki niepasteryzowanym piwem i żłopią wódkę mężczyźni z D. Bloki wielorodzinne, w których trzeba palić w piecach kaflowych. Gaz butlowy mają nieliczni. Głównie ci z domków jednorodzinnych. Z okien kościoła wylatują krzykliwe słowa. Aparatura nagłaśniająca pracuje pełną parą. Ksiądz grzmi na swoje owieczki. Jest też coś o ustroju, który nie bardzo podoba się mówcy. O szatanie też trochę krzyczy. Cisza rynku i grzmot z nieba. Czas słońca i proroków. Czas nienawiści i odkupienia.

„Ludzie są, jacy są —
Ludziom niewiele się marzy..."

— Mnie tam nie przeszkadzają te młode z obozu, co one winne? Nic. Takie czasy. Zawsze były takie czasy dla postępowych. Ja to dobrze pamiętam, bo przesiedlenie i Stalina pamiętam. Brat został tam, na Sybirze, przykuty łańcuchem do taczki w kopalni srebra. Młode są komunisty, ale może lepsze będą od tamtych, co po wojnie. (Dziadek oddala się powłócząc nogą).

— Chołota, kurwa, czerwona przyjechała. Nienawidzę czerwonych. Wieszać ich, lamp wystarczy. Gdyby była wojna, wstąpiłbym do AK i tłukłbym komunistów. Pan też jest, kurwa, czerwony, ale skoczyć mi możesz... Orłowi zabrali, kurwa koronę... (Młody człowiek wymachuje bezładnie rękami. Mało mu miejsca na chodniku. Wtacza się na ulicę. Smród piwa).

— Towary wykupują w sklepach ci turyści. Nic nie można dostać. I tak zaopatrzenie słabe, a tu jeszcze na wczasy przyjeżdżają. (Kobieta w wieku późnobalzakowskim).

— Fajne dziewuchy są na obozie, takie inne niż nasze. Modnie ubrane, uczesane jak w telewizji... No i dają się podrywać. Co turnus z jakąś chodzę. (Chłopak w bawełnianej podkoszulce z nadrukiem „Modern Talking").

— Chłopaki nawet w porządku, no. Postawili nam po kuflu, to my im też, niby na zgodę, no. Teraz cześć-cześć, no, i razem chodzimy na piwo. My tam tych z obozu nie ruszamy, bo równiachy są. Jakby co, to im nawet pomożemy, no. To chłopaki i dziewczyny z całego województwa, z wiosek i też z miast, no. Co nam do nich? Nic. Takie same ludzie, no. (Młodzian ma wybitne zdolności w pluciu do celu na odległość).

— Jacy oni tam czerwoni? Zwyczajna młodzież, może trochę spokojniejsza. Do kościoła chodzą, to co z nich za komuniści? (Właściciel „Jawy" zakłada kask).

— Mnie nie przeszkadzają, ale ksiądz mówił, że obóz ZSMP to siedlisko szatana, bo niby dziewczyny śpią z chłopakami i w ogóle. Był tam kiedyś, to mówił, że widział. Ja widzę tylko jak idą na jedzenie do restauracji, bo mieszkam niedaleko. (Kobieta w sweterku rozpinanym. Na policzku ogromna „kurzajka").

— Mnie tam wszystko jedno, kogo obsługuję, czy czerwony, czy zielony. Dużo roboty mam z nimi. Więcej niż po sezonie. (Kelnerka o pupie jak galaretka wieprzowa).

„Przystrojmy dom na przybycie
Pana..."

Między słupami elektrycznymi ciągnącymi się wzdłuż głównej, przelotowej ulicy przeciągnięto sznur. 200 metrów. Chodnik wąski, trzeba zejść na ulicę. W oknach domostw obrazki Matki Boskiej, Jezusa z promienistym sercem, papieża. Lampki choinkowe, świeczki urodzinowe, gromnice, płachty żółtego materiału, różańce, wstążeczki... Dewocjonalia. Każdy zbudował ołtarzyk z czego tylko mógł i jak umiał. Teraz wierni ustrajają gromadnie sznur od snopowiązałki: zawieszają kolorowe wstążki, kawałki bibułek i taśmę aluminiową z wyciętymi kółkami, które zużyto na kapsle do butelek od mleka. Wielka chwila dla wiernych. Jutro tędy przejdzie pielgrzymka zdążająca do C.

Młodzież z obozu ZSMP idzie na kolację do restauracji. Grupkami. Śmiechy, rozmowy, podkładanie nóg... Środkiem jezdni biegnie postać w dżinsach. Rozwiane płowe włosy, wzrok roziskrzony. Biegnie i krzyczy na całe gardło:

— Ludzie, ludzie, nas tu od heretyków wyzywają, bo ozdabiamy tak drogę! Ludzie, od heretyków wyzywają, że przystrajamy dom na przybycie Pana!

Młodzież trąca się łokciami. To ksiądz, niektórzy widzieli go w kościele. Twarde, nienawistne spojrzenia ludzi z D. Przekleństwa wypowiadane pod nosem. Na kolację była makrela z puszki, chleb, masło, herbata i dżem.

— To było straszne nieporozumienie — mówi sprawca całego zamieszania, Fryderyk G. — Szliśmy i rozmawialiśmy o herezji jako takiej. Tłumaczyłem właśnie poglądy Teilharda de Chardin, słynnego filozofa francuskiego naszego wieku, na te sprawy. Nagle zza pleców wyskoczył mi ten ksiądz i zaczął wydzierać się pod niebiosa. Zamurowało nas. Pomyślałem od razu, że to prowokacja, bo nie znałem gościa. Koledzy powiedzieli mi kto zacz. Podszedłem do niego i wyjaśniłem całą sprawę. Skrzywił się, gdy wspomniałem o Teilhardzie de Chardin, pewnie go nie lubi, bo to wyższe wtajemniczenie. Przeprosił mnie, a jakże zwrócił honor, który schowałem do kieszeni. Potem powiedział, że heretykami nie są ci z ZSMP, tylko że heretykami byli Wizygoci i Wikingowie. Ni przypiął, ni przytatał o członkach ZSMP zaczął. Powiedziałem mu, że heretykami raczej byli np. Hus, Bruno, trepkarze, a ci, których wymienił, to raczej barbarzyńcy. Na to on odparł, że naczytałem się marksistowskiej historii, a on studiował jedyną prawdziwą historię kościoła powszechnego. I odwrócił się. Ręce mi opadły. Z fanatyzmem zawsze walczę bronią fanatyka, nie nadstawiam drugiego policzka. Życie mnie nauczyło, że walczyć zawsze warto, choćby o odrobinę prawdy. Metoda nie jest ważna. Fanatyk niczego nie zrozumie, fanatyka nie można oświecić. Trzeba go między oczy... Uczyniłem znak krzyża i powiedziałem: „Apage satanas". Ksiądz uciekł w podskokach. Potem wyklinał mnie z ambony. To wszystko. Acha, mówili mi koledzy, że jakiś dziwny człowiek wypytywał się o moje nazwisko i gdzie mieszkam.

— Ten ksiądz narobił sporo zamieszania w zeszłym turnusie — mówi komendant. — Wtargnął na teren obozu i wykrzykiwał coś o diabłach i komunistach. Był strasznie natarczywy. Musiałem go wyprosić. Wartę też skrzyczałem, że go wpuścili.

— Może przyszedł głosić słowo boże?

— Pan chyba żartuje sobie? Tu, na obozie ZSMP? Pan myśli, że ja na coś takiego mógłbym pozwolić?

„Dzień dobry, maleńka, jak ci na imię?
Zgubiłaś się w tym tłumie?"

Komendant obozu, mężczyzna po trzydziestce, należy w pewnych sprawach do bardzo postępowego odłamu aktywistów. Na pierwszym spotkaniu z młodzieżą (14-19-letnią, kilka osób starszych) zapowiedział, że papierosy palić można wszędzie i jawnie, byle nie w namiotach, bo „fajczą się" w ciągu dwóch minut. Zabronił przyprowadzać „element" na teren obozu. „Element" to chłopcy z D. Zabronił wdawać się w dyskusje polityczne z przygodnymi znajomymi. Jeśli chodzi o te rzeczy (młodzież starsza wytłumaczyła małolatom o co chodzi), to nie można tego robić na terenie obozu, tylko gdzieś dalej, a broń Boże nie robić tych rzeczy z „elementem", bo choroby nadal groźne. Trochę to wszystko było zawiłe, ale gdy doszły jeszcze: zakaz kąpania się w jeziorze, bo Sanepid zamknął plażę, nakaz natychmiastowego zasypiania po godz. 22, zakaz wychodzenia na miasto bez zezwolenia wychowawców, nakaz wczesnego wstawania, zakaz spożywania alkoholu i inne nakazy i zakazy wszystko stało się jasne. Młodzież zrozumiała, że przepisy podano po to, aby wiadomo było co i kiedy człowiek robi nie tak. Z aktywnością godną lepszej sprawy przystąpiono do łamania praw. Nawet „element" okazał się wcale przystojny i godzien przemykania się po nocy do niewieścich namiotów. Może po to, aby robić te rzeczy? Wszystko było tak, jak na normalnym obozie, czyli kadra miała swoje nieprzespane noce (np. z powodu oglądania filmów video z tymi rzeczami w roli głównej), a w młodzieży szumiała zdrowa, junacka i czerwona krew.

„Szczęście narodów, jutro świetlane —
to naszych sprawa rąk..."

Obóz położony jest prawie za miastem, tuż przed cmentarzem. Korytko z kilkunastoma kranami, podłączone wiecznie cieknącym wężem z pobliskim domkiem jednorodzinnym. 14 namiotów z demobilu niemożliwych do zasznurowania. Pada deszcz. Plastykowe, okrągłe okna dawno dostały nóg. Do namiotów leje się woda. W środku metalowe łóżka pamiętające chyba bitwę pod Grunwaldem. Czarne koce i zielone materace pewnikiem z tego samego okresu. Pościel lub śpiwory młodzież sama musiała przywieźć. W świetlicy telewizor. Tylu chętnych. Można oglądać video. Był już „Rocky IV", w którym dzielny amerykański bokser młócił przez tysiąc rund Rosjanina, były „Lody na patyku", ale pierwsza część, bo druga jest nudna (czyt. rozbujała erotycznie)... Amfiteatr zbudowany w czynie społecznym przez młodzież poprzednich turnusów. Pomieszczenie łaziebne, gdzie cały czas grzeje się woda na elektrycznej kuchni. Nie wiadomo dlaczego nazwano to łaźnią dla dziewcząt, jakby chłopcy albo nie brudzili się, albo nie musieli myć w ciepłej wodzie. Stół pingpongowy, szachy, piłki, kometka, kajaki... „Był dzień sportu. Mecze: w siatkę i w nogę, strzelanie z wiatrówki, bieg z przeszkodami, wyścigi kajaków... Dyskoteki prawie codziennie, raz nawet video-teka w remizie strażackiej, tylko że obraz się zepsuł po kwadransie... Wyjście do kina na „Samych swoich"... Co tam jeszcze? Ogniska dwa były, mieliśmy piec kiełbaski, załatwiliśmy przydział, ale nie miał kto przywieźć... Tego nie musi pan pisać. O, w łaźni w pobliskiej szkole podstawowej byliśmy. Spływ kajakowy był... Dzień sportu... A to już mówiłem". Tyle tego, że od przybytku aż głowa boli. Komendant zarzucił mnie informacjami. Dla niego wszystko jest ważne co tu robią dla młodzieży, wszys

Ciąg dalszy na str. 9

BRONISŁAW SUZANOWICZ

Renesans

Odradzaliście nas Michale i Leonardo,
i ty Tycjanie, i ty Dürerze
zapatrzony w twarz Chrystusa.
Tak, Galileuszu, wierzę:
ona się porusza
i potrząsa rakietą
nad posągiem Dawida i Pietą,
i nawet nad kopułą złotą.
Kto nas dziś odrodzi
w tych promieniach podczerwieni
grożących kosmiczną komedią?
Jaki dziś Dante wstrząśnie sumieniem,
jaki Hamlet postawi dramatyczne pytanie?
Tak, czarnoleski Janie,
nawet miodom z lipy nie możemy dziś zawierzać.
Gdzie jesteś Arko Przymierza,
daleko ci jeszcze stąd do
ziemi bez grzechu.
Powiedz, Giocondo,
co się kryje w tym twoim uśmiechu?
A jednak przy swoim dramatycznym dansie
marzymy wciąż o renesansie.

Nike

O, Nike, Nike z Samotraki
kiedyś jak dobre ptaki
lataliśmy nad Grecją,
aby znaleźć twoją głowę i twoje ręce.
Powiedz, bogini,
kiedy i kto to uczynił?
Powiedz zwycięska,
gdzie wiktoria, gdzie klęska?
Ale jakże ty powiesz,
nikt już, nikt się nie dowie.
Stoisz, stoisz skrzydlata,
jak posąg tego świata,
jak człowieka sumienie.
Gdzie jest twój wieniec,
gdzie gałązka oliwna,
bogini przedziwna?
O, Nike, Nike z Samotraki.
I dziś nad tobą lecą ptaki,
lecą kluczem stalowym —
czyżby po nasze głowy?

(z przygotowywanego do druku tomiku wierszy)

O jednostronnym widzeniu

Przedstawić Stany Zjednoczone jako kraj zboczeń i dewiacji, pełen dziwacznych sekt, narkomanów, gangsterów, ludzi zaspokajających swoje najbardziej obmierzłe gusta. Taki portret Stanów został przedstawiony. Zielona Góra jest poczciwym, ani gorszym, ani lepszym od innych, miastem średnim w skali polskiej. Można ją przedstawić jako miasto chuliganów, złodziei, prostytutek, alfonsów, alkoholików. Bez większego wysiłku można napisać taki tekst. Łajno samo pcha się pod pióro. Jednak reportaż, jako gatunek w literaturze faktu, oprócz innych definicji, ma i tą, która mówi, że jest on opowiadaniem prawdziwym. Na poszukiwaniu i podawaniu innym prawdy upływa życie reportera. Jeśli jest on człowiekiem młodym, bywa tak, w procesie tworzenia reportażu ciężar swego wysiłku skupia na członie — opowiadaniu, urodzie opisu rzeczy, preparowaniu tła. Odnosi sukces estetyczny za cenę spacyfikowania prawdy jako waloru nadrzędnego.

Po przeczytaniu reportażu „Obóz" napisanego przez młodego poetę i reportera Dariusza Muszera, pomyślałem sobie, że ani Niemcy nie byli tak gospodarni i cywilizowani jak się autorowi wydaje, ani Rosjanie tacy demonicznie źli, że rzucanie granatów do piwnic traktowali jako miłą rozrywkę w pijackiej nudzie, ani Ukraińcy tacy ukraińscy. Jest to uleganie obiegowym stereotypom, eksploatowanym przez reporterów już w latach sześćdziesiątych, gdy ich sztandarową kwestią była integracja ludności na Ziemiach Zachodnich. Dziś ta problematyka ma walor jedynie historyczno-dokumentalny. Rozumiem też, bo sam doświadczyłem, dlaczego w D. autorowi właściwie nic się nie podoba. W czarnym reportażu, a takim „Obóz" przecież jest, na D. nie zostawił on suchej nitki. I gdyby opis był prawdą, pobyt turystów, jakiekolwiek, w owej zapyziałości byłby przejawem czystego masochizmu. Bo kto normalny i zdrowy miałby ochotę spędzać urlop w gnoju?

Mimo tych refleksji reportaż Muszera mi się podoba. Koszmarna normalność obozu zderzona z normalnością kołtuna, normalnością fanatyka — to jest to, co lubić powinny piszące młode tygrysy. A jednak życie nasze jest dostatecznie trudne, płaskie przez bezwład, by postawić pytanie: po co czynić je jeszcze czarniejszym?

RYSZARD ROWIŃSKI

Brylant w majtkach

Ciąg dalszy na str. 4

— Nie rozumiem, jak się czegoś takiego celnik może domyślić.

— Bo też nie domyślił się. Ten podróżny sam przyznał się i pokazał. Upychało go i nie mógł dłużej wytrzymać.

— Gdzie więc, zdaniem Pani, najlepiej ukryć walutę, abyście jej nie znaleźli?

— Najlepiej nie ukrywać i przewozić tylko to, co jest zadeklarowane.

— Mam tu akurat złe doświadczenie. Latem ub. roku w pociągu Moskwa—Paryż, gdy na pytanie celniczki odpowiedziałam zgodnie z prawdą i pokazałam banknoty wraz z zaświadczeniem z banku, celniczka przetrząsnęła mi dokładnie torebkę, walizkę i kazała wywracać kieszenie. Pasażerów, którzy oświadczyli, że żadnych pieniędzy nie mają, zostawiła w spokoju. No i niech Pani sama przyzna, że lubić Was nie można. Poza tym gdzie ten przysłowiowy nos?

— Tak, celnik czasem się myli, to prawda. Dotyczy to zwłaszcza młodych kolegów. Ale doświadczony celnik, ma tzw. nosa.

— Też nie zawsze. Posłużę się znów własnym przykładem. Z wyglądu 35—40 lat, z pozoru doświadczony i grzeczny zresztą celnik, wyprosił z przedziału pasażerów i przekopał mi całą torebkę. Po dokładnym obejrzeniu zawartości przedmiot po przedmiocie, w tym legitymacji Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, poszedł. Upłynęła chwila i wrócił. Znów wyprosił pasażerów na korytarz, prosząc mnie o pozostanie. „— Miała pani w torebce mały, zwinięty papierek, chciałbym go obejrzeć" — powiedział. Wie Pani, co było w tym papierku? Odciśnięta z ust szminka! Czego się spodziewał? A może... nie lubił dziennikarzy?

— Trudno mi tu coś odpowiedzieć. Wiem natomiast, że musimy być uczuleni nie tylko na złoto, walutę i narkotyki, ale także na przewóz rozmaitych korespondencji o charakterze politycznym. W takim maleńkim zwitku mógł być ukryty np. mikrofilm.

— A więc każdy podróżny jest dla celników człowiekiem podejrzanym.

— Wręcz przeciwnie. Sądzimy, że większość osób przekraczających granicę, to ludzie uczciwi. I to się potwierdza.

— W dziale, który Pani prowadzi?

— Także i tu. Ruch na przejściach granicznych jest bardzo duży. A ja na biurku mam tylko 700 spraw.

— Co to za sprawy?

— Postępowania karne o przekroczenie przepisów celnych.

— Co ludzie wywożą najczęściej, narażając się na straty i nieprzyjemności? Kim są?

— W sprawach dewizowych prym wiodą Polacy zamieszkali w kraju. Gdy idzie o wywóz futer i cennych przedmiotów, pół na pół: nasi z kraju oraz Polacy mieszkający za granicą i obcokrajowcy. Wśród futer dominują lisy niebieskie i srebrne. Skończyła się „era" żelazek i kołowrotków, nastała moda na stare obrazy. Jedni wywożą je na handel, inni dla celów kolekcjonerskich. Teraz właśnie mam sprawę o wywóz dwóch płócien pochodzących z przełomu XIX i XX wieku. Inna sprawa dotyczy starych, kieszonkowych zegarków, w ozdobnej, srebrnej oprawie. Ograniczenia wywozu dzieł sztuki odnoszą się tylko do przedmiotów wytworzonych przed 9 maja 1945 roku.

— Może ma Pani jakieś sensacje?

— Mieliśmy kiedyś głośną sprawę o przemyt samochodów. Na przejściu granicznym w Olszynie zatrzymaliśmy niedawno wyroby ze złota wartości 30 milionów złotych. W Kunowicach udaremniony został przemyt trzech wielkich brylantów w złotej oprawie. Z całkiem świeżych spraw warto wspomnieć o nielegalnym wywozie trzech pianin.

— Starych?

— Nie, współczesnych i nowych. Były to jednak pianina z importu. Wyprodukowane w Czechosłowacji, kupione w Polsce i wywożone do RFN bez zezwolenia — w tym przypadku koniecznego, i bez opłaty celnej. Opowiem Pani coś jeszcze. Pewnego razu wchodzi celnik do przedziału, schyla się pod ławkę i znajduje dwa śpiące psy. Nikt się do nich nie przyznał, więc celnik zabrał je i przywiózł tutaj. Były to pudelki, bardzo jeszcze młode. Ktoś uśpił je celowo, aby później sprzedać. Na Zachodzie rasowe psy są bardzo drogie. Z początku mieliśmy kłopot z tymi szczeniakami. Musieliśmy je wziąć do domów. Jeden ładnie wyrósł i chowa się zdrowo u kolegi. Środek usypiający był jednak bardzo silny i drugi piesek nie przeżył tej dawki.

— Co się dzieje z zatrzymanymi brylantami i złotem?

— Są przechowywane w bezpiecznym miejscu. Po zakończeniu sprawy, powtórnie wyceniane przez rzeczoznawców i sprzedawane firmie „Jubiler".

— W sklepie komisowym spostrzegłam katalog zachodniej firmy wysyłkowej, egzemplarz zniszczony, sprzed trzech lat, na nim napis „Urząd Celny w Rzepinie". O ile wiem, wolno przywozić takie wydawnictwa.

— Oczywiście, że wolno. Musiał to być jednak szczególny przypadek. Może w katalogu włożone były jakieś banknoty lub wpisana między wierszami korespondencja? Mógł to być też katalog porzucony.

— Jeśli dobrze pamiętam, to mieliście tu kiedyś przemyt narkotyków.

— Tak, było to parę lat temu. Obywatel Sri Lanki zamieszkały we Francji ukrył narkotyki w butach. Uwagę celników zwróciły jego buty, zbyt duże do całej postaci. Była to, jak się okazało, mała nitka prowadząca do dużego kłębka.

— Kasety video, zawierające filmy porno. Krążą na ich temat opowieści. Jak jest na prawdę?

— Sporo osób przywozi z zagranicy kasety z filmami. Każdą kasetę zatrzymujemy do sprawdzenia i większość wraca do rąk właścicieli.

— Jak to sprawdzacie?

— Normalnie. Mamy magnetowid.

— Co mówią przepisy o filmach porno?

— Kiedy zaczynałam pracę, owym zakazanym porno była zwykła, czarno biała kilsza przedstawiająca nagą kobietę. Dziś przepisy są liberalne. Nie zatrzymujemy filmów przedstawiających miłość dwojga ludzi — kobiety i mężczyzny.

— A jakich filmów zdecydowanie przywozić nie wolno?

— Takich, w których ukazany jest seks wynaturzony, okrutny, z udziałem wielu osób itp.

— Przepraszam za tę uwagę, ale nie mogę się powstrzymać, by nie powiedzieć, że Wy, celnicy, macie z tym fajnie, bo sobie możecie poglądać.

— Proszę pani, to wszystko powszednieje i z czasem nie jest ani podniecające, ani ciekawe, ani zabawne. Zresztą na to, abyśmy wszyscy siadali i oglądali, nie ma czasu. Moi znajomi też mówią czasem podobnie jak pani. Pytają: — Co wy tam właściwie robicie w tym Urzędzie Celnym? Proszę mi wierzyć, że praca celników jest niełatwa, odpowiedzialna i wyczerpująca nerwowo.

— Jest to, jak sądzę, zawód.

— Też tak myślę.

— Czy się go lubi?

— Chyba tak. Człowiek się przyzwyczaja. Znam kolegów, którzy przepracowali tak jak ja, wiele lat. Kiedyś marzyłam o medycynie. Nie udało się, trudno. Wie pani, co jest ciekawe? Ze wiele dzieci szkolnych w Rzepinie, na pytanie kim chciałyby zostać, odpowiadają, że celnikami. Mówiła mi o tym znajoma nauczycielka.

— Czym, zdaniem Pani, różni się praca celnika na Zachodzie i u nas?

— Przede wszystkim obowiązują inne przepisy. Na Zachodzie celnik wyczulony jest na broń, narkotyki, perfumy i papierosy. A u nas — już pani wie, mówiliśmy o tym.

— A to, co nazywamy kulturą obsługi?

— Sądzę, że pod tym względem polscy celnicy nie budzą zastrzeżeń. Nasze kierownictwo kładzie wielki nacisk na grzeczne i kulturalne zachowanie się celników na służbie.

— Wszyscy zazdroszą kierowcom TIR-ów i opowiadają legendy o ich zarobkach. Co Pani o tym myśli?

— Że kierowcy TIR-ów niezmiernie cenią sobie pracę, toteż bardzo się pilnują, by na granicy być w idealnym porządku. Z tego, co wiem, mają wille i samochody a rodziny ich żyją dość dostatnio. Z drugiej jednak strony kierowcy ci szybko tracą zdrowie. Wiele godzin nieprzerwanej jazdy, stresy na granicach, niewygody, suche posiłki. Wszystko to robi swoje.

— Czy mogłaby Pani wymienić przejścia graniczne podlegające Urzędowi Celnemu w Rzepinie?

— Kunowice i Tuplice jeśli chodzi o pociągi, most w Słubicach, przejazdy w Świecku, Gubinie, Olszynie i Łęknicy. Oddziały w Kostrzynie i Rzepinie. Stanowisko PSK w Słubicach. Eksport i import w Zbąszynku. Odprawa TIR-ów w Staropolu koło Świebodzina. Posterunek celny w Zielonej Górze. Chyba to wszystko. Teren od Kostrzyna po Olszynę.

— Co można wywieźć z kraju bez cła?

— Mnóstwo rzeczy, pod warunkiem, że ich ilość i wartość nie wskazują na przeznaczenie handlowe.

— A przywieźć?

— Tutaj przepisy celne są nadzwyczaj liberalne. Zakazem przewozu, poza bronią, narkotykami i środkami odurzającymi, objęte są w zasadzie tylko druki oraz taśmy dźwiękowe i filmowe, zawierające treści wrogie nam politycznie lub propagujące przemoc i pornografię. Do końca roku bez cła można przywozić właściwie wszystko, poza kilkunastoma grupami towarowymi.

— Mam przed sobą wydawnictwo pt. „Najnowsze taryfy celne", które ukazało się staraniem Szczecińskiego Wydawnictwa Prasowego i jest do nabycia w kioskach „Ruchu". Myślę, że możemy je Czytelnikom polecić. A na koniec do Pani pytanie: czego życzyłaby Pani sobie, swoim kolegom celnikom oraz podróżnym?

— Podróżnym spokoju i jak najlepszych wrażeń przy przekraczaniu granicy. Kolegom — podróży zagranicznych, aby sami na sobie mogli doświadczyć stresu i zdenerwowania, jakie podróżny odczuwa podczas kontroli celnej. A sobie jak najmniej spraw karnych po zakończeniu sezonu.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała

HALINA AŃSKA

Działo się to bezpośrednio po rozbiorze Czechosłowacji. Teraz w kalendarzyku III Rzeszy przyszła kolej na Polskę. Berlin zgłaszał w coraz ostrzejszej formie roszczenia terytorialne. Niemcy coraz wyraźniej dawali do zrozumienia, że w razie odmowy zrealizują swoje cele przy użyciu siły.

Trzeba było po stronie polskiej na gwałt przygotowywać się do nowej sytuacji politycznej i wojskowej. I wtedy zaczęto angażować niektórych obywateli polskich mieszkających nad zachodnią granicą do rozpoznawania hitlerowskich przygotowań wojennych.

Wokół „Pierścienia Nibelungów"

Penetracja z polskiej strony

WIKTOR LEMIESZ

Skorzystano z faktu, że wielu Polaków miało krewnych po drugiej stronie granicy. Na podstawie zawartych przed laty porozumień międzypaństwowych mieszkańcy pasa granicznego mieli prawo do korzystania z jednorazowych lub stałych przepustek granicznych. Mogli je otrzymywać zarówno obywatele polscy jak i niemieccy mieszkający w swoich państwach w pobliżu granicy. Dzięki przepustce można było odwiedzać krewnych, iść do pracy (głównie Polacy szukali roboty w sąsiednim kraju), można też było pohandlować (co tępiły obie służby graniczne, ale też wykorzystywały do szantażowania osób schwytanych na próbie przemytu).

Wskutek karygodnego, zbrodniczego wprost niedbalstwa władz polskich hitlerowcy po wkroczeniu do naszego kraju znaleźli w wielu miejscowościach (a najwięcej w Warszawie) dokumenty obciążające Polaków, którzy w okresie poprzedzającym agresję usiłowali spenetrować niemieckie sekrety wojskowe, w tym również tajemnice przygranicznych segmentów „Pierścienia Nibelungów" czyli m.in. Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego.

Dodajmy, że większość Polaków angażując się do niebezpiecznej roboty wywiadowczej kierowała się jedynie pobudkami ideowymi oraz patriotycznymi i działała bezinteresownie. Ale zdarzało się również, że niektórzy zajmowali się tym w zamian za skromne na ogół wynagrodzenie. Bywało też, że funkcjonariusze służb wywiadowczych posługiwali się przy pozyskiwaniu informatorów i agentów groźbami, wymuszeniami itp. (co w tej „branży" praktykowane jest we wszystkich krajach i pod każdą szerokością geograficzną).

I oto po wejściu w posiadanie i przestudiowaniu przez hitlerowców tajnej dokumentacji polskiego wywiadu oraz podległych mu jednostek posypały się masowe aresztowania obejmujące setki osób. Również wielu Polaków mieszkających na terenach wchodzących w skład obecnego województwa zielonogórskiego znalazło się wówczas w stanie oskarżenia. Większość przypłaciła to życiem. Wyjście z tarapatów graniczyło z cudem.

Z braku miejsca, dla przykładu, zajmijmy się trzema sprawami, z których każda miała odmienny przebieg.

Prawo do ubiegania się o przepustkę graniczną przysługiwało w okresie międzywojennym m.in. rodzinie Makowiaków. Mieszkali w Żodyniu (w dawnym powiecie wolsztyńskim). Głową rodziny był Tomasz Makowiak. Przed I wojną światową ożenił się on z panną ze Starego Kramska i tam zamieszkał. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wraz z rodziną przeprowadził się do Żodynia. Osiedlił się na gospodarstwie opuszczonym przez Niemca, który z kolei optował na rzecz Rzeszy. Małżeństwo miało dwóch synów — Teodora i Antoniego.

Teodor Makowiak wspomina: — Na jesieni 1938 r. przed naszym domem zatrzymał się jadący rowerem starszy strażnik polskiej Straży Granicznej Józef Heinz. Wiedzieliśmy wszyscy, że pracuje w Straży na „kierunku wywiadowczym".

Rozejrzał się bystro po obejściu i w pewnej chwili powiedział „O, tytoń macie!". Zauważył bowiem, że gdzieś w kąciku rosło kilka krzaczków tytoniu. Wobec tego, że uprawa tej rośliny bez specjalnego zezwolenia była zabroniona pod groźbą ostrych kar, ojciec został faktycznie przyłapany na wykroczeniu przeciwko obowiązującym przepisom.

Tomasz Makowiak kazał synom, aby natychmiast wyrwali i zniszczyli krzaczki. I tak się stało. W ten sposób dowód rzeczowy świadczący o wykroczeniu został usunięty. Ale Heinz, który miał zamiar pozyskać Tomasza Makowiaka na informatora, nie zrezygnował ze swego zamiaru. Zastosował tylko inną taktykę. Zapytał Tomasza „Czy byście nie chcieli zarobić? Pojedźcie do Niemiec i rozejrzyjcie się". W odpowiedzi usłyszał: „Ja już tam u nich byłem i mam dość. Nie jadę".

Nie wiadomo dokładnie co skłoniło Heinza, że w kilka miesięcy później w kolejnym rozliczeniu kosztów wśród nazwisk prawdziwych agentów i informatorów wymienił również Antoniego Makowiaka z Żodynia. Heinz podał, że w związku z nawiązaniem kontaktu z nim wydał... jedną markę i 10 fenigów „na pozyskanie go i wysłanie do Niemiec". I tę kwotę przełożeni Heinzowi zrefundowali.

Rozliczenie kosztów z czerwca 1939 r. wystarczyło Gestapo do wszczęcia dochodzenia przeciwko Antoniemu Makowiakowi, a także wielu innym Polakom, których nazwiska figurowały w wykazie Heinza. Okazało się jednak, że w czasie kiedy Antoni Makowiak miał brać od Heinza pieniądze, był już zmobilizowany i pełnił służbę w oddalonej jednostce Wojska Polskiego. Miał na to dowody. W tej sytuacji sprawa upadła. Ale Gestapo nie popuściło i aresztowało ojca, Tomasza, mimo, że jego personalia nie figurowały w aktach. Przewieziono go do więzienia w Wolsztynie a potem do Legnicy.

Jedyną okolicznością mogącą budzić podejrzenia była niewykorzystana przepustka graniczna zawczasu wystawiona przez Heinza na jego imię. Tomasz upierał się, że z niej nie korzystał i to go ocaliło. Po dwóch latach został zwolniony z więzienia i wrócił do domu.

Owiele gorszy los spotkał innego mieszkańca Żodynia — Antoniego Wolnika. Starsi sąsiedzi dobrze go jeszcze pamiętają. Nie był bogaty i nie miał stałego zajęcia. „Był człowiekiem do każdej roboty" — mówią. Pomagał więc przy pracach polowych, przy kryciu dachów itp. I od czasu do czasu jeździł do Rzeszy, do Kargowej. Tam mieszkał jego brat, który pozostał po niemieckiej stronie. W odróżnieniu od Makowiaka Wolnik rzeczywiście współpracował z polską Strażą Graniczną zbierając informacje głównie w rejonie Świebodzina i Międzyrzecza.

Wykonując te zlecenia odbył późnym latem 1939 r. dwie wyprawy do Niemiec. Jakiego rodzaju materiały udało mu się zebrać, trudno powiedzieć, gdyż w archiwach poniemieckich nie zachowały się żadne dokumenty na ten temat. Jednakże jakieś dowody istniały. Na ich podstawie Wolnik został aresztowany tego samego dnia co Makowiak. Po zamknięciu postępowania przygotowawczego przekazany został do dyspozycji osławionego Trybunału Ludowego w Berlinie. Daty rozprawy nie znamy. Wiemy natomiast, że został skazany na śmierć i stracony.

Wdowa po Antonim — Agnieszka Wolnikowa, zamieszkała dziś w Świebodzinie, o działalności wywiadowczej męża niczego nie wiedziała. Umiał on trzymać język za zębami. Jego aresztowanie spadło na rodzinę jak grom z jasnego nieba. W czerwcu 1942 roku otrzymała akt zgonu nr 2476 wystawiony 22 czerwca tegoż roku przez urząd stanu cywilnego dzielnicy Charlottenburg w Berlinie. Brzmiał następująco: **„Robotnik Antoni Wolnik, katolik zam. w Żodyniu, pow. wolsztyński, ur. 10 sierpnia 1908 r., zmarł 5 czerwca 1942 roku o godz. 5.20".** Wbrew ogólnie przyjętym zwyczajom i wbrew obowiązującym w całym świecie przepisom nie podano w tym dokumencie przyczyny zgonu. Natomiast w prasie ukazał się komunikat, iż Antoni Wolnik został stracony **„za szpiegostwo na rzecz obcego mocarstwa".**

Agnieszka Wolnik z ogromnym pietyzmem przechowuje pożółkły już list pożegnalny, który władze więzienne pozwoliły wysłać skazańcowi, gdy już mu oficjalnie zakomunikowano, że podanie o ułaskiewienie zostało odrzucone przez ministra sprawiedliwości Rzeszy von Thieracka i że egzekucja odbędzie się za kilka godzin.

W liście pożegnalnym do rodziny czytamy m.in. **„Antoni Wolnik ze wsi Żodyń, Berlin, Charlottenburg, Koenigsdamm, 4 czerwca 1942 r. godzina 11. Moja kochana Żono. Żegnam się z Wami na tym świecie. Amen. Skreślam Ci, że rano o godzinie 5 będę ścięty. Cóż ja mam zrobić, jak zostałem skazany na karę śmierci. Dzisiaj jest dzień Bożego Ciała, będziecie mieć pamiątkę po Bożym Ciele. Zakończyłem moje młode życie. Wyspowiadałem się u księdza o g. 11 w nocy. Pomodliliśmy się razem z księdzem, jestem przygotowany na ten drugi świat. Moja najukochańsza żono staraj się o życie dla dzieci, nie rób dzieciom krzywdy, niech Ci Bóg błogosławi i Najświętsza Maria niech ma Was w opiece... Zalewam się łzami całą noc, że Was musiałem tak biedne pozostawić. Serce mi pęka z bólu... Już się wszystko skończyło. Moje kochane córki jest mi żal Was zostawić, tak się cieszyłem i Taty znać nie będziecie. Kochane Córki Tata już do Was nie wróci, już się nie zobaczymy na tym świecie, tylko na drugim..."**

List ten został skontrolowany przez władze więzienne i dopuszczony do wysłania na adres najbliższej rodziny. Wolnik osierocił dwie córki — Martę, ur. w 1931 r. oraz Teresę ur. w 1937 r. Wdowa wraz z młodszą córką pracowała u Niemców do końca wojny. Martę jeszcze w 1940 r. wysiedlono do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie ciężko musiała pracować. Wróciła do matki dopiero po zakończeniu wojny. — W jakiś czas po wysłaniu świadectwa zgonu męża odesłano mi to — wspomina wdowa — co pozostawił w depozycie więziennym. Ale nie wszystko. Np. portmonetka była pusta.

Prawdopodobnie wbrew tym przypuszczeniom pieniądze nie zostały skradzione przez urzędników hitlerowskich. Sądzę, że Trybunał Ludowy nie ograniczył się do skazania oskarżonego na śmierć lecz orzekł również, jak to było w zwyczaju, iż skazany ponosi koszty postępowania i egzekucji. Na tej podstawie pieniądze oddane do depozytu po prostu skonfiskowano na rzecz skarbu Rzeszy.

Agnieszka Wolnik po wyzwoleniu podjęła pracę zawodową w PGR w Powodowie i tam pracowała aż do osiągnięcia wieku emerytalnego.

Owiele więcej, dzięki zachowanym aktom poniemieckim, wiemy o działalności, aresztowanej w tym samym czasie co Wolnik i Makowiak, Joanny Kursatz zamieszkałej przed wojną w Siedlcu. Na zlecenie wywiadu polskiego odbyła ona aż sześć podróży do Niemiec. Głównym jej zadaniem było spenetrowanie tajemnic Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Z zachowanego w poniemieckiej dokumentacji pełnego prowadzonego przez władze polskie „dossier" Joanny Kursatz dowiadujemy się, jak rozległą prowadziła działalność. Nie wchodząc w szczegóły ograniczmy się do zacytowania oceny materiałów wywiadowczych dokonanej przez kompetentny w tych sprawach Oddział III Abwehry (zajmujący się m.in. kontrwywiadem). **„Dane** — czytamy w ekspertyzie — **zebrane przez Joannę Kursatz o umocnieniach pod Wysoką mówiące o robotach podziemnych, mają szczególnie doniosłe wojskowe znaczenie. Informacje o założonych dla ich obrony rowach przeciwczołgowych odpowiadają prawdzie. Trafna, podana w karcie 1** (polskich akt. W.L.) **informacja o zamontowaniu maszyn w tunelu pozwoliła polskiemu wywiadowi zorientować się, że chodzi o większe podziemne zakłady. Chociaż podane przez oskarżoną stronie polskiej informacje nie określiły dokładnego położenia tych urządzeń, trzeba uznać jej postępowanie za zdradę tajemnicy państwowej w sensie przewidzianym w paragrafie 89 kodeksu karnego. Dochodzenie w sprawie informacji o planie budowy nowych lotnisk polowych nie zostało jeszcze zakończone. W pobliżu Świebodzina istotnie znajdowały się w bunkrach magazyny z amunicją. Ich wyśledzenie wyczerpuje znamiona paragrafu 88 Kodeksu Karnego... Na moście pod Obrzycą na drodze Chwalim — Sulechów rzeczywiście położono zaporę z min..."**

Joanna Kursatz stanęła przed Trybunałem Ludowym 19 września 1941 r. Ze zwięzłego zapisu figurującego w protokole rozprawy dowiadujemy się, że **„przyznała się do zarzucanych jej i udokumentowanych czynów. Broniła się, że nie wszystkie jej meldunki odpowiadały prawdzie".**

Trybunał Ludowy skazał Joannę Kursatz na śmierć i dożywotnie pozbawienie praw obywatelskich. Na śmierć długo przyszło jej czekać. Została stracona 3 marca 1942 r. Mąż Joanny wysłany na roboty przymusowe w głąb Niemiec zginął tam w nieznanych bliżej okolicznościach. Pozostały dwie córki — Maria Fornalkiewicz, zamieszkała i dziś w Siedlcu oraz trzynastoletnia wówczas Ela (dziś Elenora Schmidt) również mieszkająca w Siedlcu. Osieroconą Marysię wzięła pod swoją opiekę ciotka mieszkająca w Kiełpinie. Ela pozostała w domu rodzinnym i przetrwała tylko dzięki serdecznej pomocy sąsiadów, którzy choć sami w biedzie nie pozwolili by dziecko się zmarnowało.

Informacje zdobyte przez licznych polskich patriotów z obu stron powersalskiej granicy, wskutek karygodnego niedbalstwa przedwojennych władz odpowiedzialnych za ochronę ludzi i tajemnic, nie na wiele się przydały stronie polskiej. Losy Wojny Obronnej Polski rozstrzygnęły się na innych kierunkach. W 1939 roku fortyfikacje niemieckie na wschodzie, poza tym, że niektóre z nich posłużyły za rejon niemieckiej koncentracji wojskowej, nie odegrały żadnej roli bojowej. Załogi bunkrów spod Międzyrzecza nie miały potrzeby włączania się do działań.

Znaczącą rolę fortyfikacje te miały natomiast odegrać w toku zimowej ofensywy wojsk radzieckich na przełomie stycznia i lutego 1945 r. Jak wiemy, losy wojny sprawiły, że niemożliwe do zdobycia padły prawie bez boju.

Tina Turner, dziś prawie 50-letnia światowa gwiazda rocka, zdecydowała się opublikować swe wspomnienia, będąc u szczytu sławy. Wspomnienia zebrał i zredagował Kurt Loder, dziennikarz z pisma „Rolling Stone". Książka nosi tytuł „Ja, Tina". Publikujemy jej fragmenty.

JA, TINA

Kiedy uznano, że potrafię śpiewać, przyjęto mnie do kościelnego chóru. Prawdę powiedziawszy, niewiele rozumiałam sobie wówczas z kościoła. Kazano mi, więc musiałam uczęszczać do niedzielnej szkółki i brać udział w mszach. Jedynie na chór chodziłam chętnie. Co prawda, nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, co o Bogu wyśpiewuję. Po prostu podobały mi się te pieśni.

Już wówczas marzyłam o luksusie i blasku, choć nie miałam pojęcia, co to właściwie jest. Nie miewaliśmy w domu żadnych kolorowych pism, ani magazynów mody. Zdecydowanie nie chciałam nosić warkoczy...

Jedno, co nie pasowało do moich marzeń, to zbieranie bawełny. Boże, jak ja tego nienawidziłam! A wszyscy musieliśmy to robić. Jeszcze dziś mam przed oczami pola, na nich rzędy zbieraczy i między nimi ja — ze swoimi mrzonkami...

O seksie miałam już wówczas pojęcie, ale nie wiedziałam, co to jest miłość. Moi rodzice nie kochali się. Żyliśmy w dodatku między baptystami, a ci nie całowali się wzajemnie i nie trzymali za rączki, czy coś podobnego. To robili tylko biali. Być może czarni gdzieś też, ale ja tego nigdy nie widziałam. Miłość między czarnymi polegała wyłącznie na seksie i miała w sobie coś tajemniczego i zakazanego.

W roku 1950, gdy miałam prawie 11 lat, zaostrzyły się sprawy między moimi rodzicami. Czułam, że coś się wkrótce stanie. I stało się. Nagle zniknęła moja matka. Ojciec potrzebował całego tygodnia, aby zrozumieć, że tym razem to poważna sprawa. Matka wyjechała do St. Louis.

Zdałam sobie sprawę, jak bardzo matkę kochałam i nienawidziłam zarazem. Nie dlatego, że od nas uciekła, ale dlatego, że nie ściągnęła do siebie ani mnie, ani mojej siostry Alline. Czekałam i płakałam. Nic, żadnych listów! Aż pewnego dnia powiedziałam sobie: „Mamo, dla mnie przestałaś istnieć". Czułam się strasznie zraniona.

W dwa lata później uciekł też ojciec. Zostawił Alline i mnie u naszej kuzynki Elli Very i zniknął. Ot, tak zwyczajnie. Nie mogłam wprost uwierzyć. Miałam 13 lat i ani ojca, ani matki.

Życie u kuzynki było ciężkie. Mama nigdy nie przysłała nam pieniędzy czy ubrania. Nie dała znaku choćby kartką pocztową. Podobnie ojciec. Byłyśmy zmuszone do samodzielności i chodzenia własnymi drogami.

Zaczęłam pracować u pewnej białej rodziny. Nazywali się Hendersonowie. Oni odmienili moje życie, powiedzieć można — uratowali mnie. Chodziłam do nich po szkole, prałam pieluchy, sprzątałam. Wkrótce zaczęłam praktycznie u nich mieszkać. I poznawać inny świat: świat białych. Hendersonowie nauczyli mnie wiele i byli dla mnie jak rodzice.

Kiedy kuzynka Ella Vera znalazła się w złej sytuacji finansowej, Alline i ja przeprowadziłyśmy się do naszej babci Roxanne. Chodziłyśmy do szkoły Carver Highschool w Brownsville. Należałam tam do zespołu basketball. Ale sportem nigdy się specjalnie nie zafascynowałam.

Cnotę straciłam, ma się rozumieć, na tylnym siedzeniu auta, były przecież lata 50-te. Bolało, ale zrobiłam to z miłości. On mnie kochał, ja go kochałam, więc wszystko się zgadzało. Pewnego dnia dowiedziałam się, że się ożenił. Wiadomość ta wytrąciła mnie z równowagi. Ten chłopak był jedynym człowiekiem, jakiego kochałam.

Kuzynka Margret zginęła w wypadku, babci nie lubiłam, a Alline zamierzała wyjechać do Detroit. W Tennessee nie miałam już nikogo. Wyjechałam więc do matki, do St. Louis.

Matka pracowała jako pomoc domowa. Jej przyjaciel był kierowcą ciężarówki. Do szkoły chodziłam tam z dziećmi lekarzy i urzędników. W tym towarzystwie czułam się gorsza i upokorzona.

Wkrótce również Alline wylądowała w St. Louis i podjęła pracę w jednym z barów. Była śliczna. Bardzo chciałam wyglądać jak ona i próbowałam ją we wszystkim naśladować. Pewnego wieczoru pozwoliła mi sobie towarzyszyć. Włożyłam pożyczoną od niej sukienkę i umalowałam się.

— Jedziemy do East St. Louis obejrzeć Ike'a Turnera i jego zespół — powiedziała.

Byłam bardzo podniecona i usiłowałam wyglądać dorośle. Kiedy przyjechałyśmy, koncert już się zaczął. Sala wypełniona była po brzegi, głównie dziewczynami i mimo, iż wtedy było to jeszcze zabronione, czarni siedzieli razem z białymi. Okazało się, że „Ike Turner Band" przyciągał głównie dziewczyny, a prawie wcale mężczyzn. Chyba tylko tych, którzy tu swoich dziewczyn szukali.

Siedziałam trochę znudzona, bo to nie było to, co mi się podobało. I wtedy na scenę wyszedł Ike. Miał figurę jak David Bowie. Ubranie leżało na nim jak ulał. Spacerował wzdłuż sali, a wszyscy wołali: „Hallo, Ike, jak się masz"?

Myślałam: „Ten czarnuch nie jest w moim typie. Dlaczego wszystkie dziewczyny na niego lecą? Jest przecież szkaradny!". Czułam się jednak dość dziwnie. Wciąż musiałam na niego patrzeć, jak zaczarowana...

W modzie były wtedy kobiety o okrągłych biodrach. A ja byłam bardzo szczupła. Takie małe, drobne nic, na które nie zwraca się uwagi. Mimo to koniecznie zapragnęłam znaleźć się na scenie.

Gene Washington, perkusista zespołu i przyjaciel Alline chciał się z nią podrażnić. Podszedł do nas, włożył mojej siostrze mikrofon do ręki i kazał śpiewać. Ona zdenerwowała się i zaczerwieniła. Wtedy ja, odebrawszy jej mikrofon, zaśpiewałam kilka taktów: „Darling, you know, I love you for myself...". Na to Ike wrzasnął:

Tina Turner: — *Gdy czytam, wybieram tylko książki z dziedziny filozofii. W końcu chce się wiedzieć, skąd się przyszło i dokąd się zmierza...*

— Dziewczyno, ty potrafisz śpiewać!

Zespół zaczął grać, ja śpiewałam dalej. Potem wszyscy pytali:

— Kim jest ta mała?

Dziewczyny muzyków obejrzały mnie i od razu polubiły. Nie stanowiłam dla nich niebezpieczeństwa. Po raz pierwszy poczułam się gwiazdą. Stałam przecież na scenie wraz z Ike'iem „królem rytmu"!

Kiedy matka dowiedziała się o tym, co zaszło, dostałam policzek tak siarczysty, że poszła mi krew z nosa. Nie zasłużyłam na to bicie. Nie zrobiłam nic złego. Byłam solidna, chodziłam pilnie do szkoły, prowadziłam gospodarstwo w domu. Matka porzuciła mnie, gdy miałam 10 lat. A teraz nagle zabrania mi śpiewać!

Pewnego dnia zadzwonił Ike. Potrzebował dziewczyn do chóru „background". Przyszedł potem do nas, by porozmawiać z mamą. Wyglądał młodzieńczo i miło, nie tak, jak mówiły o nim złe opinie. Od razu owinął sobie matkę dookoła palca. Obiecał na mnie uważać — i mama zgodziła się! Wolno mi było z nim śpiewać!

Nazwano mnie „sexy Ann". Zaprzyjaźniłam się z Raymondem, saksofonistą od Ike'a.

Raymond był całkiem inny, niż reszta zespołu. Spokojny, cichy. I miał może dwie, najwyżej trzy dziewczyny, podczas gdy inni mieli po osiem lub dziesięć... Wszyscy muzycy mieszkali z Ike'iem w jego domu. Kiedy okazało się, że jestem z Raymondem w ciąży, i ja zamieszkałam tam. Razem ze wszystkimi...

Na początku żyłam z Ike'iem jak siostra z bratem. Podziwiałam jego muzykę, ale kawałków, które mi dawał do śpiewania, nie bardzo lubiłam. Wykonywałam je jednak z zapałem, bo chciałam śpiewać. Rozumieliśmy się. Potrafiłam tak interpretować utwory Ike'a, jak sam to wymyślił. Ta współpraca bardzo nas zbliżyła. Staliśmy się bliskimi przyjaciółmi. Tak bardzo bliskimi, że czasem spałam w jednym łóżku z nim i jego przyjaciółką. Lorraine. Darzyłam Ike'a wielkim zaufaniem i chyba po raz pierwszy miałam uczucie posiadania rodziny.

W krótkim czasie Ike rozstał się z Lorraine. Wtedy przespaliśmy się ze sobą po raz pierwszy. Nie było mi dobrze, przeciwnie, czułam się źle. Ale robiłam to. A potem wszystko już było proste.

Zakochałam się w Ike'u okropnie. Wszyscy go lubili, niektórzy kochali. Był wtedy trochę nieśmiały, nie pił, nie brał narkotyków. Bez niego czułabym się zagubiona.

Kochałam Ike'a, ale w jakiś sposób nie pragnęłam, by nasz związek się pogłębił. Tymczasem Ike planował wyjazd ze mną do Kalifornii.

Po podpisaniu umowy na naszą wspólną płytę „A Fool in Love" oznajmił, że zapłaci za mnie czynsz mieszkaniowy, a resztę pieniędzy zatrzyma dla siebie. Odpowiedziałam, że nie chcę się z nim wiązać. Wtedy po raz pierwszy mnie zbił a potem zmusił, żebym z nim spała.

Był to początek mojego wielkiego strachu przed Ike'iem. Ten mój strach dawał Ike'owi kontrolę nade mną. I władzę.

Dlaczego od niego nie odeszłam? Ponieważ moja sytuacja nie była już prosta. Miałam jedno dziecko, a z drugim byłam w ciąży. To drugie miało być dzieckiem Ike'a.

Nasza pierwsza płyta „A Fool in Love" odnosiła duży sukces. Miałam powody do zadowolenia. Mimo to czułam się nieszczęśliwa. Miałam wprawdzie sukcesy, ale jak ciężko musiałam na nie pracować! Bez przerw i bez wytchnienia!

Kiedy nie występowaliśmy na scenie, byliśmy w drodze na kolejny show, koncert lub nagranie w studiu. Kiedy nie znajdowaliśmy się w trasie lub na występach, odbywaliśmy próby. Nawet w czasie podróży próbowaliśmy nowe kawałki. Ike siedział wtedy na tylnym siedzeniu z gitarą, ja obok, czasem jeszcze jakaś dziewczyna, najczęściej jego wielbicielka. I śpiewaliśmy.

Wielu dziś twierdzi, że te stare kawałki Ike'a, to klasyka. Ja ich wtedy nie lubiłam. Muzyka była dla mnie za głośna i wszystko o kilka tonów za wysoko. Ale to właśnie Ike chciał mnie na scenie widzieć wrzeszczącą i hałaśliwą.

Byłam więc nieszczęśliwa w moim związku z Ike'iem, choć ciągle zakochana. On zresztą dużo dla mnie robił. Ale był porywczy i nieobliczalny. Często chodziłam z niebieskim okiem i spuchniętą wargą, z powodu pobicia. Bił mnie wszystkim, co mu wpadło w rękę, a potem ciągnął mnie do łóżka. Były to prawdziwe tortury.

Kiedyś mnie zapytał:

— Chcesz wyjść za mnie?

Znajdował się akurat w sentymentalnym nastroju. Powiedziałam „tak". Zawsze przecież mówiłam — tak. Gdy się Ike'owi mówiło „nie", to otrzymywało się karę. Nie chciałam wychodzić za niego za mąż. Nie chciałam być częścią jego życia. Życia, w którym byłam jedną z co najmniej pięciuset dziewcząt, jakie miał. Powiedziałam „tak" ze strachu.

Po dwóch dniach pojechaliśmy do Tijuana, żeby wziąć ślub. Moja mama była bardzo szczęśliwa. A ja wiedziałam, że nie jest to prawdziwe małżeństwo.

Ike kupił dom w View Park Hills, w Los Angeles. Przywieźliśmy moje dzieci z St. Louis oraz dwoje dzieci Ike'a, które dotychczas przebywały u Lorraine. Wzięliśmy wszystkich do nowego domu, sprowadziliśmy gospodynię, a sami przystąpiliśmy do pracy...

Nie wiedziałam wcześniej, kim jest Phil Spector. Dziwny wydał mi się ten mały, blady facet o niezdrowym wyglądzie.

Phil był podekscytowany. Chciał nagrać ze mną płytę i targowali się z Ike'iem w sprawie umowy. Na ten temat nie miałam nic do powiedzenia. Nie wiedziałam, co znaczy słowo — producent.

Powiedziano mi, że mam dwa tygodnie na próby w studiu. Próby bez Ike'a! To mi się podobało. Wydałam się sobie bardzo profesjonalna.

„When I was a little girl, I had a vag doll..". Jak ja kochałam ten song! Miał strukturę, miał melodię. Phil nie domagał się, żebym wrzeszczała. Miałam tylko śpiewać. Twierdził, że takiego głosu, jak mój, jeszcze nie spotkał. Oh, jak przyjemnie było mi to słyszeć.

Niestety, „River Deep" nie od razu się w Stanach przyjęła. Ta muzyka była za czarna dla białych radiostacji pop — i za biała dla radiostacji czarnych. Nikt nie chciał jej słuchać. Mnie podobała się bardzo. Byłam z niej dumna.

Nieoczekiwanie stała się hitem w Wielkiej Brytanii. Okazało się też, że mamy mieć tournee z Rolling Stones. Nigdy dotąd ich nie widziałam. Nie miałam na to czasu. Nie miałam czasu na nic, poza moją pracą. To powodowało, że w jakiś sposób byłam ciemna.

Na pierwszym wspólnym koncercie z Rolling Stones w Albert Hall byłam zdenerwowana. Nigdy dotychczas nie graliśmy w tak dużej hali. Ale publiczność od razu nas polubiła, to się czuło. W pewnej chwili dojrzałam za kulisami białą twarz. Cóż to za chłopak z tymi grubymi wargami? Jak na białego wyglądał niesamowicie! Te oczy, te usta! To był Mick Jagger!

Potem śpiewaliśmy razem, śmialiśmy się i gadaliśmy głupstwa. Zawsze było zabawnie, kiedy był Mick. W ogóle Anglia była dla mnie początkiem wszystkiego. Początkiem końca etapu z Ike'iem Turnerem. I początkiem etapu nowego.

Po tournee z Rolling Stones w Anglii, poleciałyśmy do Francji i Niemiec. Ta podróż przeobraziła całe moje życie. Miałam wrażenie, że przyjechałam do domu. Pokochałam Francję. Ciekawe, że choć nie znałam francuskiego, jakoś zawsze umiałam się porozumieć...

Na początku 1968 roku znów byłam w ciąży. Tym razem dziecka nie chciałam. Dowiedziałam się, że Ann Thomas też spodziewa się dziecka, od Ike'a.

Ann Thomas przystała do nas, będąc smarkulą. Najpierw jeździła z nami jako fanka Ike'a. Potem śpiewała w background, aż z czasem znalazła się w gronie „stałych" kobiet Ike'a. Życzyłam sobie, żeby Ike się z nią ożenił, a ja wówczas miałabym z nim do czynienia tylko w geszefcie. Ale on chciał mieć nas obie.

Kiedy byliśmy w podróży, pokój Ann znajdował się zawsze obok naszego. Ike nawet nie próbował niczego trzymać w tajemnicy. Kiedyś wstał w nocy i przez drzwi łączące nasze pokoje przeszedł do pokoju Ann. Nawet drzwi za sobą nie zamknął. Po kilku godzinach wrócił do mojego łóżka...

Myślałam wiele razy, że dłużej tego nie wytrzymam. Chciałam umrzeć i powzięłam pewien plan. Ike bił mnie butem, wieszakiem, rzucał we mnie aparatem telefonicznym, boksował mnie i dusił. Pewnego razu tuż przed koncertem złamał mi szczękę. Mimo to musiałam wystąpić i śpiewać.

Wreszcie zdecydowałam się zrealizować swój plan. Poszłam do lekarza i postarałam się o środki uspokajające. Otrzymałam opakowanie valium, 50 sztuk.

W nocy przed występem w „Apartament Club" w Los Angeles, usiadłam i pomyślałam: „Cholera, możecie mnie wszyscy...". Przyniosłam sobie dużą szklankę wody i połknęłam wszystkie 50 tabletek. Szybko poczułam ich działanie. Ale koniecznie chciałam jeszcze wyjść na scenę. Umowa przewidywała, że jeśli nie wystąpimy, Ike nie otrzyma pieniędzy.

Zebrałam się jakoś, wyszłam i zaczęłam śpiewać. Nie dałam jednak rady do końca. Zabrano mnie do szpitala.

Podobno wypompowano mi żołądek. Podobno momentami serce przestawało mi bić. Podobno Ike siedział obok i przemawiał do mnie. Prawdopodobnie coś w rodzaju:

— Ty zdziro, jeżeli teraz umrzesz, to cię zabiję...

Po wyjściu ze szpitala natychmiast musiałam śpiewać. Mój żołądek i moje serce nie było w porządku. Ale Ike'a to niewiele interesowało i zwyczajnie zmuszał mnie do pracy. Podczas koncertu miałam tak okropne bóle, że po zejściu ze sceny nie mogłam już dotrzeć do garderoby i upadłam w korytarzu. Widząc to Ike zaczął wrzeszczeć:

— To ci pasuje? Chcesz umrzeć? No to umieraj!

I wtedy zaczęłam Ike'a Turnera nienawidzić.

Właściwie nigdy nie miałam okazji tylko słuchać muzyki. Wciąż musiałam pracować. Studio, koncerty, trasa. Non stop. I kiedy pewnego dnia w Seattle, w sklepie muzycznym usłyszałam „Come Together" Beatlesów, zdałam sobie sprawę, że właściwie ich nie znam. Tą piosenką zachwyciłam się i chciałam ją śpiewać. Podobnie było z „Honky Tonk Women" Roling Stons, albo „Proud Mary" Creedence, Clearwater Revival. Ike nie życzył sobie, abym te utwory śpiewała. Był to początek mojej miłości do muzyki rockowej.

Kiedy pierwszy raz śpiewaliśmy live „I've Been Loving You Too Long", Jimmy Thomas śpiewał „Oh, baby, oh, oh, ah". Potem robiłam to ja, i, przy pomocy Ike'a, który był tym zachwycony, brzmiało to dość pornograficznie, bowiem używał dodatkowych „efektów akustycznych"...

Zawsze pragnęłam, żeby Ike osiągnął to, o czym marzył: szereg płytowych hitów. Postanowiłam, że kiedy to nastąpi, wówczas opuszczę go.

Kiedy zorganizowałam własne studio, myślałam: — „Bomba, wkrótce mam go z głowy". Ale zaczęły się historie z nocnymi telefonami. Musiałam wtedy natychmiast do niego jechać i albo śpiewać, albo przyrządzać mu jedzenie. Wówczas już Ike i całe towarzystwo brali kokainę. Ten biały proszek wciąż mieli na twarzy. Mnie kokaina nie interesowała.

Miałam 34 lata, gdy piosenka „Notbush City Limits" stała się przebojem. Wtedy dopiero w środku moich 30-tych lat zmieniłam myślenie. Oceniłam moją dotychczasową karierę i doszłam do wniosku, że była to nie moja kariera, lecz Ike'a. Ja byłam tylko narzędziem w jego rękach. I ostatecznie zdałam sobie sprawę z bezsensu mojego małżeństwa.

Pewnego dnia Ike przyprowadził do domu jedną dziewczynę. Nazywała się Valery Bishop. Tacy jak Ike robią często coś takiego. Valery zapytała mnie, czy wiem, co to jest chanting? Myślałam, że ma to coś wspólnego z magią. Ona wyjaśniła mi, że nie chodzi o czary, lecz o buddyzm.

Wraz z nią wzięłam udział w medytacjach Sing-Sang „nam-myo-ho-renge-kyo", pięć razy. I nagle poczułam, że coś zostało mi ofiarowane. Stałam się silniejsza.

Odtąd zawsze, ilekroć Ike'a przy mnie nie było, próbowałam chanting. Kupiłam sobie „Butsadan", rodzaj ołtarza. Medytowałam przed nim i czytałam z księgi, którą pożyczyła mi Valery. Czułam, jak znika mój strach przed Ike'iem.

Kiedy Ike dowiedział się o moich nowych zainteresowaniach, kategorycznie mi ich zabronił. A ja właśnie już będąc dostatecznie silna, poczułam w sobie bunt...

Stopniowo malała ilość naszych angażów. Ike miał zły humor i za wszystko obwiniał mnie, jak zwykle. Byłam w sytuacji beznadziejnej. Nie miałam do kogo się zwrócić. Moja matka mieszkała w domu Ike'a w St. Louis i do niej nie mogłam. Alline bała się Ike'a tak samo jak ja, więc do niej nie mogłam także. Ale musiałam odejść. Moje zdecydowanie było większe niż strach...

Pewnego dnia wylądowaliśmy na lotnisku Fort-Worth w Dallas. Samochód z kierowcą czekał, aby zawieźć nas do hotelu Hilton.

W aucie Ike zaczął mnie bić. Ja po raz pierwszy się broniłam! Bił mnie i wyzywał, a ja na niego krzyczałam! Nie przestawał mnie okładać, ale był totalnie zaszokowany, bo nigdy dotąd tak się nie zachowywałam! Było mi wszysko jedno, co on myśli. Wiedziałam, że właściwie już go opuściłam.

Kiedy dotarliśmy do Hiltona, miałam pół twarzy spuchnięte od nosa aż do ucha i broczyłam krwią. Weszliśmy do pokoju. Ike rzucił mnie na łóżko, sam też się położył. Kazał mi się masować, jak zwykle. Serce biło mi jak oszalałe, bo nadszedł przełomowy moment. Odczekałam chwilę aż usłyszałam chrapanie Ike'a. Popatrzyłam na niego i pomyślałam:

— Ostatni raz mnie pobiłeś, ty gnoju!

Otarłam łzy. Okryłam się kapą z łóżka, żeby nie było widać pokrwawionych ciuchów i poszłam sobie...

W roku 1979, równo dwanaście miesięcy po rozwodzie, spotkałam się z producentem Rogerem Daviesem. Dałam mu do przesłuchania kasetę, która, prawdę mówiąc, przypominała dawne produkcje Ike'a. Roger siedział, słuchał i widać było, że nie jest zachwycony. Powiedział mi, co powinnam zmienić. I słusznie. To mi się podobało.

W tournee po Republice Południowej Afryki towarzyszył mi mój syn Ronnie. Graliśmy w Johannesburgu, Durbanie i Kapstadt. Sun City nie było jeszcze wówczas gotowe. Wszystko przebiegało normalnie. Nie zdawałam sobie sprawy, co to jest apartheid. Miałam angaż i byłam zajęta własnymi sprawami. Potem bardzo krytykowano mnie za to tournee...

Roger powiedział któregoś dnia:

— Musisz poszukać nowych ludzi. Z tą grupą nie będziesz nigdy grać rocka. Potrzebujesz młodych, energicznych chłopaków. Wyrzuć te kostiumy i obetnij włosy. Potrzebujesz nowego image!

Bo ja wciąż nosiłam długie peruki.

Z początkiem 1981 roku byłam już zorganizowana na nowo. Z dotychczasowego zespołu muzycznego i tanecznego zatrzymałam tylko dwie dziewczyny...

Po nagraniu „Let's Stay Together" czekałam, że coś się wydarzy. Polegałam na sobie. Gdy się jest dobrym artystą, zawsze się coś może zdarzyć. Pojechałam do Anglii na tournee. Z jednym hitem! Tam nastąpił obłęd. Wszyscy śpiewali wraz ze mną „Let's Stay Together"!

Tego dnia nie zapomnę nigdy. Byłam z Rogerem w Nowym Jorku. Miałam wystąpić u Ritza. Rano przyszedł do hotelu Roger i powiedział, że dzwonił australijski reżyser George Miller. Zaproponował mi rolę w filmie „Mad Max". Krzyknęłam z radości. Właśnie dzień wcześniej mówiłam Rogerowi, że chętnie zagrałabym w filmie. To była bomba! Pierwszy film po 10 latach!

To był mój comeback. Prawdziwy triumf. Zaczęło się nowe życie.

Tłumaczyła i opracowała:

BEATA BARTOSIEWICZ

Fot. Christof Hinterobemayer (Austria) — „Every day — everyday"

FOTOGRAFIKA

Portret młodego pokolenia

Zdjęcia nadeszły z Chin, Austrii, NRD, Rumunii, ZSRR, Belgii i Polski. Powstał zbiór 604 fotografii i przeźroczy 111 autorów, którego najbardziej wartościową część eksponowano w zielonogórskiej galerii ZAPSU. Wystawa cieszyła się dużym zainteresowaniem, choć pomysł zorganizowania międzynarodowego konkursu fotograficznego w Zielonej Górze nie wszystkim wydawał się sensowny. Trudno określić ile było w tym niedocenienia funkcji fotografii, ile zaś niechęci do stworzenia czegokolwiek ponad uświęcone tradycją. Faktem jest, że „Interfoto" nie miało u nas precedensu.

Na powodzenie konkursu wpłynęło zapewne jego hasło: „Młodego pokolenia portret własny". Do udziału zaproszono młodych fotografujących, bez względu na formalny status. Uczestnikom dano pełną swobodę w doborze techniki oraz formy prezentacji — również assamblage, environment i inne. A chociaż niektórzy odbiorcy żałują, że z tych ostatnich nie skorzystano, wystawa dostarczyła wielu wizualnych i intelektualnych przeżyć. Była ciekawym, zapisem psycho- i socjologicznym. Oglądało się ją z przyjemnością tym większą, że miała charakter nieco egzotyczny. Jakże rzadko mamy możliwość obcowania z fotografią rumuńską, chińską czy austriacką a nawet zachodnioniemiecką. Jakże mało znane są fascynacje, którym ulega współczesne młode pokolenie z innych regionów świata.

Jacy są lub jakimi siebie przedstawiają ci, o których z podpisów pod fotogramami dowiedzieliśmy się tylko jak się nazywają i jaki reprezentują kraj. Które interpretacje faktów uznane dziś przez nich za słuszne przetrwają? Jakie współcześnie popularne wartości i powszechne zjawiska okażą się efemerydą, „ułamkiem sekundy"? Odpowiedzi na te i inne mnożące się przy okazji „Interfoto" pytania należą do odbiorców.

Zainspirowane hasłem konkursu autorskie odpowiedzi, różnorodne stylistycznie, stworzyły mozaikę postaw i możliwości twórczych młodych ludzi. Dla części z nich była to okazja do kreacyjnego zobrazowania swych przemyśleń, filozoficznych refleksji. Dla innych — do przedstawienia „tu, teraz, wobec" spraw obejmujących konkretne sfery życia — obyczajową, moralną lub polityczną.

Spośród 138 zakwalifikowanych do wystawy prac 43 autorów jury postanowiło przyznać Grand Prix Jackowi Piotrowskiemu z Polski za zestaw „Pogo" (taniec punków). Christof Hinterobemayer z Austrii otrzymał I nagrodę za całość prac — diapozytywy i pojedyncze fotogramy o filozoficznych odniesieniach. Zdzisław Kaczyk (Polska) — II nagrodę za zestaw psychologicznych portretów w technice mieszanej. Dwie równorzędne III nagrody otrzymali: Dieter Schmindt (RFN) — za barwny fotoreportaż z demonstracji przeciwko elektrowniom atomowym oraz Krzysztof Hejke (Polska) za cykl diapozytywów. Wyróżnienia przyznano Juskelisowi Romasowi z Litwy oraz Pawłowi Gutowskiemu z Polski. Ponadto Krzysztof Hejke otrzymał także nagrodę specjalną — medal ZPAF Okręgu Wielkopolskiego.

W otwarciu wystawy i wernisażu uczestniczyli prezydent Zielonej Góry Antonina Grzegorzewska oraz wicewojewoda Jan Zięta. Serdeczną atmosferę rozmów, które toczyły się wokół „Interfoto" i ruchu fotograficznego, dopełniło zaimprowizowane wręczenie Grand Prix jego zdobywcy, przybyłemu przed zakończeniem spotkania. Dowiedzieliśmy się wówczas, że Jacek Piotrowski ma 22 lata, a fotografując od trzech lat, koncentruje swe zainteresowania na tematyce społecznej; współredaguje „Kronikę Studencką" na Politechnice Gdańskiej.

Akademickie Biuro Kultury i Sztuki ZSP „Alma-Art", którym kieruje Mirosław Dutkiewicz, zebrało gratulacje za pomysł i ponadamatorskie przygotowanie imprezy. Szczególnie zaś komisarz konkursu Krzysztof Wojciechowski (debiutujący w roli organizatora, znany w zielonogórskim środowisku fotograficznym jako uczestnik wystaw grupy „Nad odrze") oraz Grzegorz Wower — autor projektów plastycznych wszystkich akcesoriów reklamowych. Od początku przygotowań swym doświadczeniem i pomocą służyli członkowie jury — Jarosław Stanisławski i Stefan Wojnecki (AFIAP, ZPAF), Wiesław Brzóska (ZPAF) a zwłaszcza Czesław Łuniewicz (ZPAF). „Interfoto" finansowano ze środków urzędów Wojewódzkiego i Miejskiego w Zielonej Górze oraz „Alma-Art".

Powyższe słowa nie są gestem kurtuazji, bowiem organizatorom nie zabrakło i przykrych doświadczeń. M.in. po rozreklamowaniu konkursu ze współpracy wycofały się zielonogórski WDK, Komitet Organizacyjny VII Festiwalu Kultury Studentów PRL i Ogólnopolska Rada Dziennikarzy Studenckich. A sporo kłopotu przysporzyło też kierownictwo galerii ZAPSU m.in. zmieniając w ostatniej chwili termin udostępnienia sali, za którą notabene obciążyło „Alma Art" „zniżkową" kwotą 150 tys. zł. Z powodu nietypowych godzin otwarcia galerii niektórzy tę ważną wystawę oglądali przez okna.

„Interfoto" postanowiono jednakże kontynuować, w formie biennale ze zmieniającym się hasłem — tematem. Wszak również dla uczestników okazało się atrakcyjne, bo przecież nie nagrodą w wysokości 50 tys. złotych przyciągnęło ono obywateli RFN, Austrii, Belgii czy innych. Już po wernisażu organizatorzy zaproponowali zagranicznym laureatom wymiennie ciekawą formę pobytu w Polsce.

Jak potraktowali konkurs miłośnicy fotografii z lubuskiego środowiska? W wystawie uczestniczyło czterech autorów, a prace nadesłało niewielu więcej — to również fragment autoportretu młodego pokolenia. Oczywiście „Interfoto" jest formą popularyzacji fotografii artystycznej i konfrontacji doświadczeń rówieśników z innych krajów; podnosi rangę naszego środowiska; być może zdoła je także ożywić i zmobilizować do twórczej pracy. Ma szansę stać się znaczącą imprezą fotograficzną w kraju, choć to ledwie „jaskółka", a kontynuować ją i to tak, aby się nie zestarzała znacznie trudniej...

Zgodnie z zamierzeniem wystawa będzie prezentowana w kilku większych miastach Polski, ponadto w Witebsku i Cottbus.

I Międzynarodowemu Biennale Fotografii w Zielonej Górze, bo tak już można nazwać „Interfoto '88", patronował Związek Polskich Artystów Fotografików.

ELŻBIETA LEŃSKA

PESTALWY

My, mocni ludzie

„— Help! Hilfe!" Obraz nędzy i rozpaczy w zagajniku nieopodal szosy E14 skruszyłby najbardziej zatwardziałe serce: smród, polanka zaśmiecona kawałkami z lekka pomarszczonego, różowego papieru, kilkudniowy zarost na niemowlęcej twarzyczce, spuszczone szelki, przybrudzona bawełniana koszulka z napisem- „I love spirit". W podobnych okolicznościach pytanie, czy mam przy sobie żytnią lub wyborową, należy traktować najzwyczajniej. Psy pełniące służbę ratowniczą na górze świętego Bernarda nie mogą się obyć bez antałka koniaku przytroczonego do obroży.

Łyknąwszy sobie z gwinta, uratowany założył szelki na ramionach widać przyzwyczajony do ładu, widać — waga naturalna 120 kilogramów, w obecnym stanie ze sto, podał rękę i się przedstawił. Dla nas niech to będzie Dyl Sowizdrzał z Niderlandów, kończący pracę zawodową jako kierowca, przechodzący na emeryturę, powracający z wyprawy alkoholowej w Polsce do trzeźwej ojczyzny, wycieczki trzynastej, więc feralnej. Opowiedział krótko, co mu się przydarzyło; trywialny fakt: Dylowi skończył się zapas śmietanki holenderskiej. Nie bacząc na ostrzeżenia swoich rodaków mających ugruntowaną opinię na temat polskich wyrobów mleczarskich, wstąpił do sklepu spożywczego w Świebodzinie. Śmietanki, niestety, w sklepie (chwilowo) nie było. Było mleko chude. Spożył tego mileka zaledwie szklankę, poczuł zawrót głowy, przerwał podróż z powodu sensacji żołądkowych. W zagajniku przebywa drugą dobę. — Co ruszę, to mi się chce — powiedział i zapytał — wy też macie podobne doznania po spożyciu mleka? Zaprzeczyłem. My, po spożyciu mleka, śmietany, twarogu, żółtego sera, którego i tak nie ma, czujemy się znakomicie. Źle czujemy się po mleku świeżym, prosto od krowy, nawet jeśli zostało ono ugotowane. — To nadzwyczajne! Dyl Sowizdrzał długopisem nagryzmolił coś w notesie. — Jak opowiem o tym w Holandii, nikt mi nie uwierzy. Dzieci, niemowlęta, też tak reagują na mleko? Potwierdziłem. Powołałem się nawet na autorytet najbardziej znanego ministra.

Dyl Sowizdrzał nie mógł wyjść z podziwu. — Wy, Polacy, jesteście narodem nadzwyczajnym, ulepionym z innej gliny, pijącym trucizny, które zwalić mogą z nóg każdego innego mieszkańca Europy. Niszczenie produktów żywnościowych w procesie przetwórstwa, mięsa w restauracjach i wytwórniach konserw, mąki w piekarniach, owoców w wytwórniach win, dotkliwie karane w każdym innym kraju, jest u was zapewne nagradzane? Potwierdziłem i ten pogląd. Zakłady, przetwórcze, które to robią, prosperują dobrze, lepiej płacą pracownikom. Jesteśmy w trakcie upowszechniania metody sprawdzonej w przemyśle spożywczym na inne gałęzie — konfekcji, obuwia, wyrobów elektronicznych, hutnictwa. Nawet w prasie obserwuje się tą tendencję. Im kto głupiej pisze, ten lepiej zarabia.

— Teraz lepiej was rozumiem, — rzekł Dyl Sowizdrzał. — Ja po wypiciu wódki podanej przez kelnera w restauracji, po alkoholu zakupionym za złotówki, czuję się fatalnie. Czy wy, Polacy, po spożyciu wódki zakupionej za dolary w Pewexie też czujecie się źle?

— Nawet najbliższe rodziny upitego wódką z Pewexu dają do zrozumienia, że czują się niedobrze. Są to kłopoty związane z adaptacją organizmu...

— Mam nadzieję, że i tę trudność przeskoczycie.

— Też na to liczę. Nie takie bariery udało się nam przełamać.

Dyl Sowizdrzał mocno uścisnął moją dłoń. Gdy podprowadziłem go pod stojący na poboczu samochód, mocno zużyty stary model NSU, był uprzejmy pokazać zawartość bagażnika: rolki papieru, mydła toaletowe, proszki do prania, dezodoranty, tytoń, papierosy, cygara, plastykowe butelki po śmietanie, butelki z sosami, przyprawy, krem do golenia, baterie do radioodbiornika turystycznego, materiały fotograficzne, apteczka i mnóstwo innych wyrobów w eleganckich opakowaniach. — Bez tego nie można jeździć po Polsce, wspaniałym egzotycznym kraju w środku Europy! — wyznał Holender. Jako człowiek szczery a może z wdzięczności za ratunek w opresji, chciał mi podarować złachaną koszulkę z napisem „I love spirit." Nie przyjąłem daru. Pokazał mi więc to, co wywozi z Polski a co leżało na tylnym siedzeniu NSU: walizki, ręczniki frotte, kryształy, porcelanowy serwis, bieliznę pościelową, osiem par sandałów męskich. Były nawet słoiki z dżemem i marynowanymi grzybkami. — U nas to wszystko jest — powiedział, ale droższe znacznie i czasem nie takie ładne. — Najchętniej zabrałby do samochodu kilka polskich dziewczyn, są prima sort! Tylko, co na to powie żona? — westchnął.

Gdzie on to wszystko dostał? Skurczybyk z tego Dyla Sowizdrzała!

RYSZARD ROWIŃSKI

OKOLICE ŻYCIA

Japonia Europy

1 Nie przypuszczałem nigdy, że współorganizując akcje strajkowe w 1981 roku z powodu powszechnego nie wprowadzania wolnych sobót, będę obecnie na skraju wyczerpania psychicznego, i opluwać zacznę, Jezus Maria, swoją historyczną postawę ideowca. Oto bowiem naszła mnie ochota, aby udać się z rodziną do miasta w sobotę, która w Polsce, nie wiadomo dlaczego, zwie się „wolną". Rzecz jasna, autobusem nie jechałem, bo i autobusy w te „wolne" dni kursują wg tzw. „świątecznego rozkładu jazdy". Do centrum cywilizacji udałem się rowerem. Szybciej i pewniej. I będąc już w mieście, naraz chciałem zapaść się pod ziemię ze wstydu. Cóż, kiedy ta zaasfaltowana, obłożona betonowymi kaflami ziemia miejska nie chciała się przede mną roztąpić. — Panie, płakać się chce! — ktoś rozpaczliwie do mnie krzyknął. Bo idę oto ulicami miasta, a tu pustawo, sklepy pozamykane, mała gastronomia zamknięta, ustępy publiczne zamknięte. Nic nie można kupić, tylko umrzeć z głodu. Jeszcze gorzej niż w stanie wojennym.

2 — Dlaczego, tatusiu, wszystko jest pozamykane? — pytą mnie syn. Długo się namyślałem, by w końcu wzruszyć tylko ramionami. Bo dlaczego najdziecinniejsze pytanie w ustach dziecka brzmi tak poważnie? Poważny to problem, tak poważny, gdy o tym myślę, czuję, że dziecinnieję do reszty. Nie trzeba być nawet uczonym, czy członkiem jakiejś, modnej obecnie, rady, by wiedzieć doskonale, że lokal handlowy powinien stale przynosić dochody, czyli być otwarty tak długo, jak to jest potrzebne do normalnego funkcjonowania życia społeczeństwa. I nie trzeba tak że być magistrem handlu, by wiedzieć, że to jest coś zupełnie idiotycznego, ten pomysł zamykania sklepów w dniach, kiedy społeczeństwo ma wreszcie dużo czasu na wszelkie sprawunki, i nie musi — jak to bywa we wszelkie pracujące dni — „urywać się" nielegalnie z pracy, by coś kupić.

Nasi wszelcy spece od handlu, przypuszczam, że w większości to samozwańcy — zachowują się tak, jak jeden z taksówkarzy z amerykańskiej anegdoty. Otóż pewien milioner dał mu 10 centów napiwku; a ten obrażony znikomością daru, wyrzucił monetę przez okno. Wówczas milioner schylił się, wygrzebał z błota monetę i powiedział: a mnie się przyda.

3 Gdzie chcemy żyć? Czy chcemy żyć w mieście tłumnym, żywym, doskonale funkcjonującym, czy anonimowym, wyludnionym i niebezpiecznym? Czy też raczej chcemy żyć w ogromnej wsi, w której zasiano smutek kosmiczny? Oto chodzę sobie z całą rodziną w wolną sobotę po ulicach miasta. Zdaję sobie sprawę, że jest to bezsensowne. Robię z siebie idiotę. Wszędzie jest kompletna przypadkowość. Mania, obsesja, bzik „udoskonalania" wszystkiego, bo ludziom z racji wykonywania określonego zawodu, nie chce się po prostu pracować. Moje myśli są jakby przysmażone na rożnie, które zamknięte jest na cztery kłódki, plus alarm. Dopiero w poniedziałek ma być wszystko w normie. Dziś, niestety, idioto, jest wolna sobota, jutro zaś będzie niedziela.

4 O tym mówi się już głośno, i to dobrze. Bo jednym z największych błędów popełnianych ostatnimi laty, i popełnianych, niestety, jeszcze wcześniej — było odizolowanie ludzi bezpartyjnych od rządzenia krajem, chociaż od czasu do czasu, spektakularnie, jakieś tam drugorzędne funkcje pewnym bezpartyjnym powierzano. Nie da się zapewne obliczyć strat, jakie nasze społeczeństwo poniosło na skutek tego, że dziesiątki tysięcy najwyższej klasy fachowców nie uczestniczyło w podejmowaniu ważnych decyzji, nie wykorzystana została ich wiedza, doświadczenie, i co chyba najważniejsze, wielka rzetelność zawodowa. Teraz ze wszystkich stron padają głosy, że to musi się nareszcie skończyć. Łatwo się jednak mówi. Za łatwo jak na codzienne obowiązki. Boję się, że wprowadzanie tych zasad w życie, szczególnie na prowincji, a dla mnie prowincją zawsze będzie np. Zielona Góra, pójdzie trudniej niż wprowadzenie kolejnych etapów reformy gospodarczej. Oczywiście, istnieje jeszcze problem o zabarwieniu dramatycznym między określonymi decydentami a społeczeństwem, który polega na tym, że obie strony wiedzą, że — przypuśćmy dyrektor, prezes, wojewoda, minister — jest taki właśnie: słaby, pełen wahań, źle poinformowany o aktualnych sprawach dnia codziennego. I społeczeństwo musi takim decydentem zadowolić się. Może sobie jedynie pomarzyć o nieznanym, idealnym. Tylko cóż z tych marzeń, kiedy marzenia w naszej szerokości geograficznej nie bardzo chcą się spełniać?

5 Pewien dziennikarz zachodni, który interesuje się życiem naszego kraju, tak oto lapidarnie zechciał ująć polskie sprawy: Wy jesteście Japonią Europy — i zaczerpnąwszy w tym miejscu powietrza, dokończył — Oczywiście, nie ze względu na poziom technologiczny. Wy, Polacy, zupełnie jak Japonia, jesteście dla reszty świata kompletnie niezrozumiali. Właściwie to trzeba was zakonserwować jak skansen.

ZBIGNIEW M. JELINEK

Fot. Jacek Piotrowski — z zestawu „Pogo", Grand Prix

Sceny miłosne w literaturze pięknej

W DOMU POD CZERWONĄ LATARNIĄ

MARICA PARASKEVA

Z nowogreckiego przełożyli:

Maria Ganaciu

Stanisław Srokowski

Zrzuciła buty, które ją uciskały, poruszyła palcami nóg, były zupełnie odrętwiałe. Naprzeciw niej biblioteka zajmowała całą ścianę pokoju, na półkach widać było pięknie i starannie oprawione książki. Zaczęła je oglądać. Niektóre tytuły odnosiły się do czasów bizantyjskich, do panowania tureckiego, dotyczyły historii Kościoła, jako że Kościół był wówczas główną władzą. Jakiś histeryczny śmiech wstrząsnął jej ciałem, przeszedł w łkanie. Niepojęty zbytek duchowy w tym domu rozpusty i rozkoszy. Wytrzymała już tutaj dwadzieścia pięć dni! Jak mogła? Przecież każdy skrawek tego domu mówi o przeznaczeniu pomieszczeń. Oto drzwi, które otwierały się co dzień dla coraz to innego mężczyzny. Mężczyzna dojrzały, przedsiębiorczy, dostojny, gdy tylko przekraczał tu progi, zostawiał swoje przymioty na zewnątrz. Nigdy nie zapomni tych mężczyzn, niechby nawet minęło i sto lat. Pamięć wciąż wydobywa na światło poszczególne sylwetki.

Najpierw wyłania się postać tego niskiego i grubego, nieznanego mężczyzny z czerwonymi policzkami z fałszywym spojrzeniem. Ukrywał swój wzrok obłudnie za ciemnymi szkłami okularów. Nerwowo oblizywał wargi, błyszczały odstręczająco, mięśnie jego krótkich rąk wciąż drgały przy nieskoordynowanych ruchach ciała, palce wspinały się po jej piersiach, chwytały zachłannie jej biodra. Wyglądał tak błazeńsko w samej bieliźnie, że aż litość się budziła. Brzuch przelewał się jak rozrastający się zaczyn nad jego chudymi i krótkimi nogami. Pomrukiwał jak zwierzę, gonił za nią dookoła pokoju, zdyszany. Nie docierały do niego słowa, płacz, prośby...

Następny był generałem, chełpliwy i głupi, nieustannie demonstrował swoją pyszałkowatą męskość. Aby się uratować przed nim, musiała półnaga wyskakiwać przez okno. I znowu zjawił się Jorgos. Nagiego, półobłąkanego, oszalałego satyra wypchnął do innego pokoju. Tym razem kłujący, okrutny bat wyćwiczył ją jeszcze boleśniej, przeorał jej ciało do krwi.

Pozostała z krwawiącymi ranami, ociekającymi na podłogę, z krzepnącą krwią na ciele. Nikt nie przyszedł jej z pomocą. Późno, w południe, dowlokła się do łazienki. Próbowała obmyć rany, które pod wpływem potu piekły niemiłosiernie. Zapasowego ubrania nie miała. Leżała więc w łóżku naga przez następne dwa dni. Dreszcze wstrząsały jej ciałem, sprawiały, że ból bezlitośnie przenikał do mózgu. Zaciskała zęby, aby nie krzyczeć. Żeby tylko nikt nie wszedł teraz, myślała, gdy całe moje ciało, to jedna, wielka rana. Żeby tylko nikt nie wszedł. Stwardniałe prześcieradło wydawało przykrą woń krwi, bezsenne noce ciągnęły się bezlitośnie długo, a pomieszczenie napawało grozą i wstrętem.

W jednej z szuflad toaletki przeładowanej przyrządami erotycznymi wszelkiej maści, wielkości i wzorów, znalazła nieco miejsca na herbatniki, które przyniosła jej Filipinka. Za każdym razem, gdy tylko sięgała po nie, wydzielała sobie malutki kawałek, żeby starczyło jak najdłużej. Ułamki nadziei kazały jej tylko wierzyć, że może jutro to wszystko skończy się a Ona nie oszaleje ze zmartwienia. Minął tydzień, zanim odzyskała nieco sił, aby stanąć na nogi. Wyprała bieliznę. Miała wrażenie, że nieustannie czyjeś łakome oczy spoczywają na jej ciele. Gdzie by się tylko nie ruszyła, śledził ją czyjś wzrok.

Jeszcze się słaniała, kiedy znowu pojawił się Jorgos, tym razem z suchym, łykowatym mężczyzną. Mógł mieć około pięćdziesięciu pięciu lat, trzymał się prosto i dobrze, odznaczał się prostokątną twarzą i ciemnymi, gęstymi brwiami. Jego czarne oczy dziwnie, chorobliwie błyszczały, poruszając się to w prawo, to w lewo. Przez myśl jej przeszło, że pewnie jest paranoikiem. Wskazywały na to gwałtowne, nieskoordynowane ruchy.

— W mgnieniu oka zmienimy pościel, panie ministrze, — rzekł Jorgos czołobitnie, dostrzegając, jak gość przygląda się prześcieradłu.

— Nie trzeba, mój drogi, nie trzeba! Krew... krew... rozpad i żywe ciało, które poddajemy naszej woli.

Nozdrza nowego gościa drgnęły z rozkoszy, powoli kładł swoją torbę na łóżku.

— Mam nadzieję, że dziewczyna, hmmm, tego, nieco się speszył, będzie aktywna. Widzę, że próbowała.

Jorgos zaśmiał się i wyszedł. Zamknął za sobą drzwi. Dziewczyna pozostała niema i stała blisko okna. Przeniknęły ją ciarki na samą myśl, że znowu spadną na nią ostre rzemienie. Zastygła jak słup soli, lękając się nawet własnego oddechu. Minister tymczasem usiadł na fotelu. Zdjęte buty stały już w kącie pokoju, marynarka zwisała z krzesła. Widziała wpół rozpięte spodnie i ohydny widok.

— Ściągaj te figi, mała — powiedział. — Chyba nie masz zamiaru tu paradować w majtkach?! Czyżbyś nie wiedziała, po co przyszedłem?

— Pewnie się pan pomylił. Nie znam pana i nie mam najmniejszego zamiaru zdejmować czegokolwiek. Niczego nie będzie, drogi panie. Straszna pomyłka.

— Co? — jęknął. — Co mówisz? — wytrzeszczył na nią oczy. — Zapłaciłem za ciebie. Drogo mnie kosztowałaś, bo powiedziano mi, że jesteś jedyna do tych rzeczy. Czyżby mnie wprowadzono w błąd? No, dobrze jeśli ci pójdzie dobrze, zapłacę jeszcze więcej i do rączki. A poza tym, może się uda załatwić jakąś podróż zagraniczną ze mną, na przykład do Francji, co? Potem popłynęlibyśmy jachtem do Hiszpanii. To ciekawy kraj. A średniowieczne zamki robią na mnie bardzo silne, wręcz wstrząsające wrażenie. Te wszystkie ich narzędzia kaźni, lochy, tortury. Co za urocza podróż! Pomyśl tylko! Ile szczęśliwych i pięknych godzin nas czeka. Spełnią się nasze najbardziej wyszukane marzenia, poddamy się najwspanialszym nastrojom. Będą nas podniecać krajobrazy i widoki nieba.

Mówił w takim uniesieniu, jakby ta wspaniała podróż już się zaczęła. Całkowicie był pochłonięty fantazjami, nadal pozostając półnagi w fotelu, bawiąc się swoimi genitaliami, a jego mętne oczy intensywnie poszukiwały nagości dziewczyny.

Skuliła się w kącie, trzęsąc się ze strachu. Nie ulegało wątpliwości, że był to sadysta — paranoik. Zobaczyła nagle przed oczami ten cały korowód postaci książkowych, z którymi zapoznała się dawno. Te wszystkie przerażające historie i przygody filmowe! Ohyda! Ten ją na pewno zamorduje. I wszystko się skończy raz na zawsze. Może i tak będzie lepiej, pomyślała ze smutkiem. Bo jakże wyjść z takiej sytuacji.

— Powiedziałem, mała, ściągnij te figi i chodź do mnie. Weź torbę z łóżka i otwórz ją tuż przy moich nogach. Chcę widzieć, jak klęczysz.

Nie drgnęła. Próbowała czymś zająć pamięć. Biegała po dawnych ulicach, skrawkach zieleni, po podwórkach i wzgórzach. Przypominała sobie szkołę i szkolne życie, kolegów, koleżanki. Nieoczekiwanie przemknęła przez pamięć beżowa ściana. Ależ tak! To pokój dentystyczny. Wiszące grawiury. Potem cały świat alchemii, poszukiwanie receptury na złoto. — Och, złoto! — Ni to westchnęła, ni ze wzgardą szepnęła do siebie! Cały świat oszalał na tle złota. Magowie poszukujący złota, czarodzieje, dziwacy. Pracownie alchemików, a w nich postacie pochylone między ogniami, jakby w płonącym obrazie wszystko migotało. Ciała w ogniu! Giordano Bruno i jego cierpienie! Skąd jej się to wszystko teraz wzięło w głowie? I oto myśli pryskają. Odsuwają się daleko, a tak by chciała zatrzymać obrazy z lat szkolnych.

— Jesteś głucha, czy tępa? Nie udawaj, i tak nie unikniesz swego. Nie wzniecaj we mnie wściekłości, bo mogę nie zapanować nad sobą. Nie igraj z ogniem. Chodź, chodź...

Kiedy zobaczył, że podpiera ścianę plecami, wstał. Zbliżył się do łóżka. Wziął do ręki zakrwawione prześcieradło i przetarł nim twarz.

— Jakże wspaniale byłoby wypróbować jego smak, leżąc na twoim ciepłym, mocnym ciele. Powiedziałem, ściągaj te figi! Nie mam zamiaru czekać. Bo inaczej w ruch pójdzie haczyk!

Otworzył swoją torbę. Bicz, kawał sznurka, a na samym końcu tego sznurka haczyk. Zobaczyła żelazną pięść, sztucznego fallusa, ogromnego i nienormalnie grubego, drugi sznurek i kawałek żelaza.

Próbowała ukryć strach. Schyliła głowę, usiłowała zapanować nad głosem.

— Nic mnie to wszystko nie interesuje. Pomylił się pan. Żadna umowa mnie nie dotyczy. Pomylił pan drzwi.

Nalana, czerwona twarz nabrzmiewała jeszcze bardziej. Krwiste oczy krążyły po orbitach.

— Nie przyszedłem tu sam. Przyprowadzili mnie i wskazali ciebie. Wiedzieli, co robią.

Zaskoczył ją świst, który nagle usłyszała. Kiedy unosiła głowę, już jej ciało opasywał ostry bat. Pozostawił rysę, ostry haczyk wdarł się w głąb pępka. Poczuła straszliwy, niewyobrażalny ból. Miała wrażenie, że wyrywa jej wnętrzności. Jak cięciwa, ciało wyprężyło się do tyłu. Sznur znowu się rozwinął, nawet nie zdążyła odetchnąć. Razem z bielizną, haczyk oderwał kawałek jej ciała. Wielki, dziki ryk rozniósł się po domu. Widziała jak przez mgłę, kiedy mężczyzna zbliżał się do niej. Był jak zahipnotyzowany. wpatrywał się obłędnym wzrokiem w czerwoną strużkę krwi, która łączyła ranę ze wzgórkiem łonowym. Szedł do niej ceremonialnym krokiem, wolno i jakby z namaszczeniem. Wiedziała, że nie może się już nigdzie dalej cofnąć. Za nią pozostawała tylko ściana. Trwała więc nieruchomo, tłumiąc teraz szloch i zaciskając boleśnie język. Strach mieszał się ze wzburzeniem, odrazą i gniewem. Zobaczyła w którymś momencie jego przekrwione oczy i poczerwieniałą twarz, pochylał się nad jej brzuchem i gorącymi wargami spijał krople krwi, chciwie chłepcąc strużkę pod wzgórzem łonowym. Czuła, jak ją obejmuje i ciężkimi, kościstymi łapami przygniata coraz silniej. Nie pomagał ani wstręt, ani strach, górował nad nią tępą siłą i poczuła jak jej ciało drży, przeniknęły ją nowe fale dreszczy. Podniosła gwałtownie nogę. Kolanem uderzyła go w brodę, aż zazgrzytały sztuczne szczęki. Odrzuciło go. Jego ręka sięgnęła po haczyk, leżał nieopodal krzesła. Była gotowa na wszystko, determinacja poderwała ją do działania. Nadepnęła mu na dłoń, kopnęła haczyk. Zanim mężczyzna się zebrał, pobiegła do drzwi. Były otwarte, po raz pierwszy. Rzuciła się na korytarz wołając o pomoc. Pozostawiła za sobą krwawy ślad. Otworzyły się jakieś drzwi, wybiegły stamtąd dwie kobiety i zbliżyły się ku niej. Chwyciły za ramiona i pociągnęły za sobą.

— Pomóżcie, pomóżcie — wymamrotała.

Kiedy odzyskała przytomność, znajdowała się znowu w swoim pokoju. Prześcieradło było czyste, rana opatrzona. Przy niej stał Jorgos z zaciśniętymi zębami, patrzył mętnym wzrokiem...

Kiedy schylała się po mydło, nieoczekiwanie jakaś ręka wślizgnęła się pomiędzy jej uda. Dziewczyna podniosła się i odwróciła. Obok wanny stała Marta z mętnymi oczami i wpatrywała się w jej piersi.

— Świńtuszko, masz niezłe ciało. A te uda, pełne i naprężone, i skóra delikatna, jakże to wszystko piękne...

Mówiła ochryple i równocześnie zachłannie wpatrywała się w brzuch, podbrzusze, uda.

— Wynoś się stąd! Kto ci pozwolił tu wejść?

— Daj spokój! Wujek sobie życzy, aby któraś z nas, starych, była przy tobie, kiedy się kąpiesz. Może trzeba ci będzie... natrzeć plecy.

— Sama sobie poradzę! Weź swoje łapy i znikaj.

— Ależ dlaczego? Czyżbyś nie wiedziała, jak cudowne mogą być pieszczoty w kąpieli. Nie zapominaj, że ja także jestem kobietą i wiem, czego ciało potrzebuje.

— Nie interesuje mnie to. Wyjdź!

— Nie upieraj się! Miałabym zostawić niepocieszone te piersiątka?

Łagodnie poczęła pieścić jej uda, dotknęła swoimi wargami szyi dziewczyny. Język starej, niczym język żmii, zsunął się z karku na zaokrąglone ramię.

Poczuła jak dławi ją wstręt. Próbowała starą odepchnąć. Ale poślizgnęła się w wannie i czołem uderzyła o brzeg tak gwałtownie, że aż ją zamroczyło.

Stara chwyciła dziewczynę za ramiona i pomogła jej wstać.

— Nie bądź histeryczką. Chociaż rozumiem ciebie. Tyle czasu bez rozkoszy. Posłuchaj mnie tylko, chodź ze mną a znajdziesz wszystko. Zobaczysz, że ci się spodoba. Żaden mężczyzna nie jest w stanie ciebie zrozumieć, tak jak ja. Ciało mężczyzny przemawia innym językiem.

Wariatko! Chcesz zniszczyć sobie twarzyczkę na dobre. Poczekaj, przyniosę ci trochę lodu na czoło.

Zanim dziewczyna ubrała się w płaszcz kąpielowy, stara już stała z kawałkiem lodu. Nadal patrzyła zachłannie na jej uda i piersi, odsłaniane przy każdym ruchu szlafroku.

— Bardzo cię proszę, przestań — powiedziała dziewczyna. — Chcę już wrócić do swojego pokoju. Kręci mi się w głowie. Muszę się położyć. A jeżeli chodzi o twoje propozycje, to powiedz mi, dlaczego namawiasz mnie do miłości lesbijskiej, skoro sama jesteś prostytutką.

— Nie bądź śmieszna. Nic nie rozumiesz. Pleciesz androny. Dlaczego zajmuję się prostytucją? Bo życie nie jest tylko przyjemnością. A ponieważ chcę żyć tak, jak mi się podoba, muszę iść na małe kompromisy. Żyjemy w społeczeństwie fallusokratycznym i na piz... jest popyt.

Rozwarła nogi i pokazała wulgarnym ruchem swoje ciało.

— Wiesz, co to za siła, która tutaj drzemie? Może pochłonąć wszystko, jak ocean. Natomiast fallus wiotczeje i ginie. Nie mówiąc o tym, że ciągle nam stwarza problemy z tymi swoimi resztkami, które w nas pozostawia.

— Masz na myśli ciążę?

— Oczywiście. Spróbuj dać sobie radę z nieślubnym dzieckiem. Każdy mężczyzna, którego tylko poznasz, rzuci się na ciebie, jak na towar, bo będzie rozumował, że skoro już należałaś do innych, możesz należeć i do niego. Jeżeli nie masz papieru, który czyni z ciebie legalną prostytutkę tylko jednego chłopa, do którego niby masz należeć całe życie, jesteś skazana na wszystkich mężczyzn. Oni nigdy nie potrafią się pogodzić z faktem, że i ty masz ciało, które coś przeżywa. Wydaje im się, że tylko oni przeżywają, a my jesteśmy przedmiotami.

— Wygląda na to, że nie kochasz ani mężczyzn, ani rodziny.

— O jakiej rodzinie mówisz? Niby o jednej z cząstek tego jądra społecznego? Też to spółka! Dwoje ludzi zakłada sobie spółkę, kobieta i mężczyzna. Najczęściej kobieta wnosi kapitał. I gdzieś po piętnastu latach przeróżnych inwestycji kapitał się zwraca. A jeśli chodzi o dzieci, to także wspólny interes. On bowiem trzyma tę spółkę pod jednym dachem. Kobieta i mężczyzna dbają o siebie wzajemnie, bo im się to opłaca. Nic innego w tym nie ma, niż interes.

— Nie mogę cię słuchać. A miłość, wzajemny szacunek, poważanie?

— Melodramatyczna gadanina! Kochamy to, co nam odpowiada. Bo to zabezpiecza nam spokój psychiczny. Bowiem większość ludzi, to paranoicy i szaleńcy. Kochamy mężczyzn, bo zabezpieczają nas ekonomicznie, stwarzają pozycje społeczne. I w ten sposób mamy pewność, że nie wypadniemy z gry na byle zakręcie.

— Nie, nie, nie mogę cię słuchać. Miłość, szacunek, wzajemna pomoc, czułość, wszystko to podnosi poczucie naszej wartości. To nie są żadne związki na poziomie wymiany handlowej. Związki uczuciowe ludzi czynią społeczeństwo bardziej postępowym, sprawiedliwszym, stwarzają harmonię i ciepło.

— Widzę, że należysz, laleczko, do tych szczęśliwych, co to się rodzą ze złotą łyżką w ustach, a twoje oczy niczego jeszcze ważnego do tej pory nie widziały. Pewnie dlatego mędrkujesz. Przyjemnie jest oglądać życie zza żółtych firanek. Ale ulica nauczy cię prawdziwej ceny życia. A ja znalazłam się właśnie na ulicy...

— Moja maleńka, zobaczysz, nie zapomnisz tego nigdy — wyszeptała Marta.

— Odczep się. Będę krzyczała.

— To nic nie da. głupia. I tak się nikt nie zjawi.

Usta Marty przywarły do ust Elefterii. Jej zęby sprawiały ból. Nacierała całym ciałem, wymuszając pocałunki. Dziewczyna poczuła straszliwą odrazę i wstyd. Spod powiek wypłynęły łzy. Poruszyła gwałtownie głową. Tamta siłą przytrzymywała jej podbródek. Znowu gniotła swoimi wargami wargi dziewczyny.

Elefteria zobaczyła kątem oka wiszącą na ścianie hiszpańską pałkę z kolcami. Zrozpaczona wyciągnęła rękę. Gdy tylko jej dotknęła, łańcuch się poluzował i pałka z całym ciężarem uderzyła o podłogę. Huk był tak nagły i głośny, że stara się odsunęła, zaskoczona i przerażona. Spojrzała na podłogę. Pobladła. Kiedy uniosła swoje oczy Elefteria zobaczyła w nich gniew i nienawiść.

— Ty, podła suko! Chciałam ci dać rozkosz. Rozumiałam twoje cierpienie. A ty mnie chcesz zabić?

I w tym momencie nagle otworzyły się drzwi. Obydwie odwróciły głowy i zastygły. Na progu stał „Święty" z sutanną w ręku i patrzył na nie w najwyższym napięciu.

Widział prawie nagą dziewczynę i zsunięty z jej ramion kąpielowy płaszcz. Jej wargi krwawiły, twarz poczerwieniała od wstydu, a po policzkach spływały łzy. Marta wciąż naciskała kolanem brzuch dziewczyny, a rękami przetrzymywała jej ramiona. „Święty" objął teraz wzrokiem leżącą na podłodze pałkę i zadawał sobie pytanie, która to z nich pragnęła ją wykorzystać. Czyżby to ta mała, zrozpaczona i wylękniona broniła się w tak niebezpieczny sposób, mogąc dokonać zbrodni? — zastanawiał się. A może to zdeprawowana Marta po raz drugi wstąpiła na niebezpieczną ścieżkę?

(fragment powieści przygotowanej do druku)

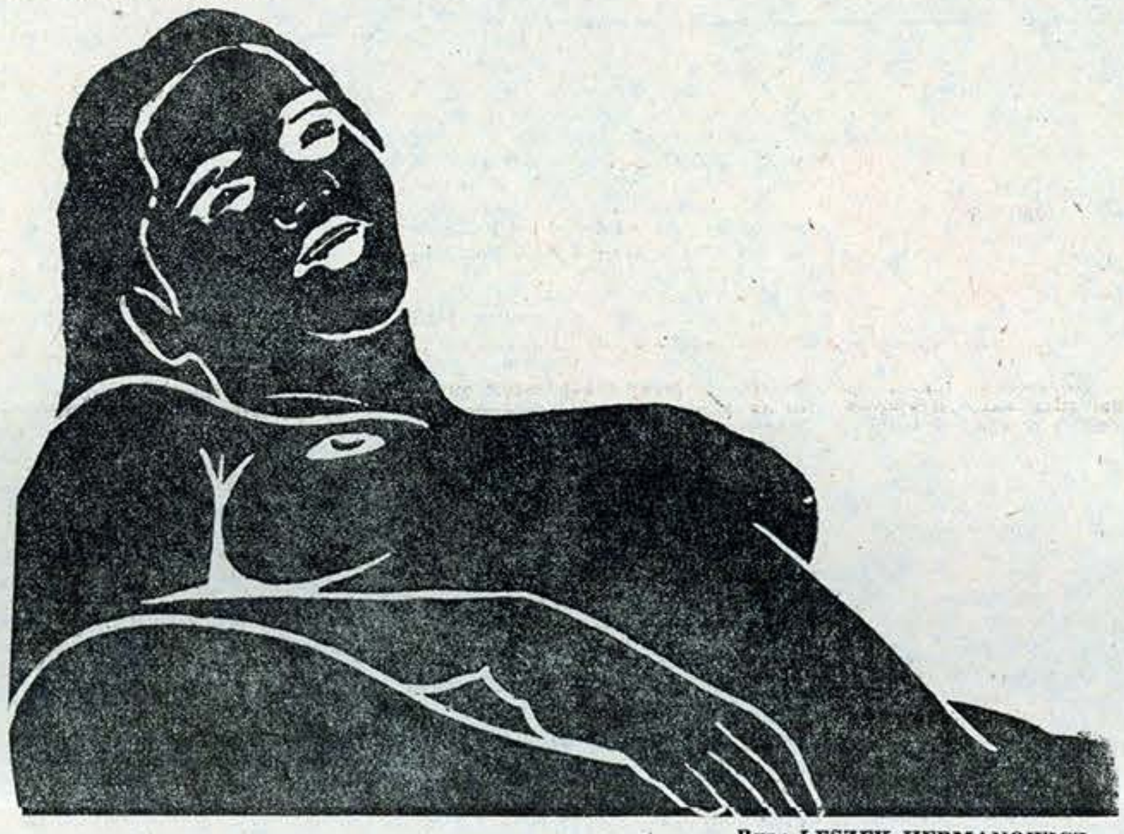

Rys.: LESZEK HERMANOWICZ

FILM

Po „Łagowie '88"

Ucieczka z kina

Wierne łagowskim przeglądom filmowym pozostały właściwie tylko kluby filmowe i dzięki energicznym zabiegom sekretariatu Federacji, „Łagów" jednak się odbył (jednakże bez kolejnego numeru!) i z dodatkiem KLUBOWE Lubuskie Lato Filmowe zorganizowane przy poparciu i z wzorową organizacją przez Klub Kultury Filmowej w Zielonej Górze z pomocą kilku innych organizacji.

Najważniejszą zaletą tegorocznego Lata był trafny wybór hasła „Polskie kino lat osiemdziesiątych".

Pokazano nam retrospektywny przegląd czołowych dzieł 1981-87 oraz kilka prapremier znów (i słusznie) wyprzedzając Gdańsk. Mieliśmy też jedyną w Polsce okazję kinowego obejrzenia „Biesów" Wajdy, które — chociaż nie są filmem udanym, jednak lepiej wypadają w kinie niż w TV. Co prawda (podobnie jak to było w Berlinie Zachodnim) znaczna część widzów opuściła amfiteatr, ale trzeba przyznać, że nie tak gremialnie jak na „Niezwykłej podróży Baltazara Kobera" trzecim już z rzędu niemożliwym do wysiedzenia filmie Wojciecha Jerzego Hasa, filmie cudownym w oprawie plastycznej, ale będącym dzwonem bez serca. Jest to oczywiście kino, zwane „autorskim" i ambitnym, czasy tego kina minęły chyba bezpowrotnie...

Widzowie zresztą wychodzili nawet z filmu zrealizowanego tylko dla nich, pozbawionego jakiejkolwiek koncepcji i cienia wysiłku intelektualnego, mianowicie z filmu „Nowy Jork — 4 rano" w którym podobnie do takich filmów jak „Wakacje w Amsterdamie" (w którym nie było Amsterdamu) i „Pociąg do Hollywood" (w którym nie było stolicy filmu) nie ma także Nowego Jorku. Dowcip tej komedii — najwyżej trzeciorzędny. Z innych filmów wyświetlanych w łagowskim amfiteatrze uznanie widzów starszych uzyskała „Prognoza pogody" Antoniego Krauzego (znana już z ekranów), a kontrowersyjne przyjęcie miały „Cienie" angielskiego Polaka Jerzego Kaszubowskiego, który sobie wyobraził, że

I LOVE MOVIES
Kocham kino
Dir.by.Piotr Łazarkiewicz

repatrianci ze Wschodu otrzymali na ziemiach odzyskanych ogromny pusty pałac z wspaniałym parkiem i areałem ziemi...

Z filmów „popołudniowych" wyświetlanych w maleńkim łagowskim kinie uznanie zdobyły „Gorączka" i zwłaszcza wstrząsająca „Kobieta samotna" Agnieszki Holland, oczywiście „półpółkowe" „Dreszcze" Wojciecha Marczewskiego.

Odrodzenie przeżył film Barańskiego „Niech cię odleci mara", bardzo podobała się „Austeria" Kawalerowicza, żywą dyskusję wzbudził subtelny „Zygfryd" Andrzeja Domalika, z zaciekawieniem publiczność oglądała „Ucieczkę" Tomasza Szadkowskiego, z przerażeniem „Krótki film o zabijaniu" Kieślowskiego, z wyraźnym znudzeniem i licznymi dezercjami „Anioła w szafie" Różewicza, którego myśli przewodniej nie sposób odgadnąć.

Kino nasze nie ma oblicza jak za czasów „szkoły polskiej" czy w okresie zwanym „moralnym niepokojem". Tezę tę potwierdziły trzy referaty Rafała Marszałka, Andrzeja Wernera i Waldemara Chołodowskiego, które stanowiły intelektualny szczyt spotkań klubowych. Dla zafascynowania widzów zabrakło „Klątwy Doliny Węży" Marka Piestraka i może jeszcze jakiegoś dobrze zrobionego, atrakcyjnego filmu, zrealizowanego dla publiczności, a nie wyłącznie dla własnej satysfakcji.

LEON BUKOWIECKI

KSIĄŻKI

To co jest piękne

I

Gdyby Muzeum Ziemi Lubuskiej cztery lata temu poprzestało na wydaniu tylko jednego bibliofilskiego tomiku — Henryka Szylkina „Galeria niepokoju", inspirowanego malarstwem Józefa Burlewicza, to w gruncie rzeczy ów fakt wydawniczy nie miałby żadnego znaczenia Odnotowalibyśmy precedensową inicjatywę, która sama w sobie mogłaby nawet wydać się niezrozumiałą. Na szczęście tak się nie stało. A nie stało tak dlatego, że wydawcy nie zabrakło wyobraźni i umiejętności myślenia perspektywicznego. Wystarczająco dobrze wiedziano, że sens jest nie tyle w tworzeniu pojedynczych, oderwanych faktów, co w nadaniu im rangi oryginalnego zjawiska. By to osiągnąć, potrzebna jest wytrwałość (a także dobra wola), której czasami nagle ludziom brak. Okazało się, że kontynuowany wysiłek wydawniczy, w tej poetyckiej dziedzinie, nie poszedł na marne. W tej chwili jest już o czym mówić. To małe środowisko poetyckie potrafiło (choć to prawda — wiersze jednych autorów są ciekawsze a innych mniej), określić swój stosunek do szeregu zjawisk plastycznych, z którymi miało możność się zetknąć. Przeżyć. Kontemplować.

Książeczki są podobne w formie, ale za to bardzo różnorodnie i bogato ilustrowane. Właśnie od tej strony, kreowane (gdzieś ta idea przyświecała) na swoiste pocket bookety, mogą swoją odmiennością od typowej produkcji wydawniczej zwracać na siebie uwagę. Cieszyć i fascynować. Dla autora jest prawdziwą przyjemnością posiadanie w swoim dorobku właśnie takiej, małonakładowej i małoobjętościowej książeczki. W jednym tomiku są rysunki wklejane, w innym zdjęcia, w jeszcze innym rysunkom drukowanym towarzyszy wklejane zdjęcie lub zdjęciu drukowanemu — wklejany rysunek. Możliwości mogą być bardzo różne. Przykładowo: ekslibrisy Stanisława Pary zdobią „Galerię niepokoju" Henryka Szylkina, a oryginalne, maleńkie akwarele Hilarego Gwizdały są w zbiorku Tadeusza Sojki „Okna w niebo".

Można mówić mimo pewnych trudności, o bardzo pozytywnym spełnieniu się pomysłu sprzed czterech lat. Jeśli wielkonakładowym publikacjom książkowym nie towarzyszą takie wysmakowane, wysublimowane małe książeczki, to znaczy, że w ogóle książki tak naprawdę się nie kocha, ani poezji, którą ona propaguje. Wyobrażam sobie, że w miarę możliwości, w miarę jak będą poeci proponować swoje wiersze, będzie dalej rozwijać się ta urokliwa już seria. Tym bardziej warto ją kontynuować, gdyż jest zjawiskiem oryginalnym w skali ogólnopolskiej (nie robi tego żadne muzeum). W tej chwili warto byłoby jedynie zachowywać coraz większą dbałość o każdy dosłownie edytorski szczegół tej serii.

II

Ukazał się właśnie kolejny zbiorek, tym razem poświęcony w znacznej części działalności plastycznej Stefana Słockiego, czyli „Sosnowe klawisze" Romualda Szury. Nie wiem, czy Szura, który w 1965 roku w LTK wydał arkusz „Popołudnie", gdyby nie ta muzealna idea edytorska, miałby siłę i odwagę skonstruować jeszcze jakiś zbiorek. Wrócił więc Szura poprzez plastykę do wierszy. Jeśli jednak malarstwo Słockiego stanowi swoiście pojęty konstruktywizm, w którym oczywiście nie brak i kompozycji przedmiotowych, to Romuald Szura, bez uciekania się do jakichś sztuczek i wynalazków formalnych, po prostu proponuje swojemu czytelnikowi liryczne wzruszenie sztuką zielonogórskiego artysty. Przykładowo pierwszy wiersz „Rapsodia" otwiera bardzo charakterystyczne stwierdzenie: *„Chciałbym namalować muzykę / ten idealny ład świata / akordy gamy i rytmy"*. To *„namalować muzykę"* stanowi przecież jeden z głównych nurtów malarstwa Stefana Słockiego, który z inspiracji muzyką klasyczną uczynił dla siebie jeden z powodów tworzenia. W innym wierszu nawiąże Szura do konkretnego obrazu — „Wierzby lednogórskie", które są *„zamyślone pośród różowej ciszy"*. W tekście „Vivaldi", dedykowanym Mistrzowi, przywoła jeszcze raz kwestię *„muzyki dla oczu"*. By wreszcie nie pominąć cyklu krajobrazów przemysłowych. Jest w tych wierszach Szura kimś zauroczonym sztuką, kimś opowiadającym i prezentującym swoje subiektywne, i w obrazie tkwiące, problemy Nie mam jednak pewności, czy to zauroczenie jest do końca autentyczne. Mogę wierzyć w autentyczność, gdy idzie o podziw i akceptację *„muzyki dla oczu"*, zdradzającą, że dysponujemy dużą wyobraźnią. Jak to się jednak dzieje, że ten liryczny autor, o nieco sentymentalnej kondycji, potrafi przyznać rację w tym samym zakresie również *„tęczowemu łukowi przemysłu"* lub *„Turoszowowi jak katedra"*?

Poza wierszami o malarstwie Słockiego są też „Medytacje poety w dziale winiarskim lubuskiego muzeum" (niegdyś nagrodzony w konkursie winobraniowym), jakieś poetyckie nawiązania do portretów, do pracy archeologa (np. „Dzbany", dedykowany Edwardowi Dąbrowskiemu). Najogólniej Szura patrzy bardzo refleksyjnie, z rezygnacją, na otaczający świat. Próbuje uchwycić jego urodę i znikliwość, ale na pewno tworzy legendę o artyście, o sztuce. I również o sobie samym.

III

Słowo wstępne do tego zbiorku napisał Jan Muszyński, który również tworzy legendę Stefana Słockiego. Przywołuje cytaty z wierszy Szury, ale przede wszystkim uwaga skupiona została na artyście. Różnorodne, anegdotyczne fakty i dowcipy, są prezentowane nie dla pieczołowicie konstruowanej biografii i precyzji świadomości artystycznej. Raczej chodzi o mozaikę wątków, zdarzeń, sądów, które jeszcze unoszą się w powietrzu, tworzą aurę. Tę aurę warto ocalić. Tym bardziej, że w niej to, co w życiu niekiedy zgrzyta, krzywi się i nas dotyka, w pewnym momencie jednak pięknieje.

IV

Z tych powodów cenię sobie tę dziesiątkę bibliofilskich zbiorków wydaną staraniem zielonogórskiego Muzeum. To co jest dobre i piękne, niech pozostaje nadal dobre i piękne.

CZESŁAW SOBKOWIAK

Romuald Szura: **Sosnowe klawisze.** Słowo wstępne: Jan Muszyński. Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 1988 s. 16.

Dobroć i miłość

Wojciech Pasterniak jest profesorem zwyczajnym, zajmuje się dydaktyką literatury i pracuje w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze. Jest autorem licznych prac z zakresu szeroko pojmowanej metodyki nauczania literatury. Oprócz tego pisze wiersze, a jego twórczość literacka wspaniale uzupełnia fachowe i mądre wywody kierowane do studentów polonistyki i praktykujących nauczycieli literatury. Twórczość poetycka naukowców nie jest wcale czymś szczególnym, starczy przypomnieć, iż wiersze pisywali: Tadeusz Kotarbiński i Władysław Tatarkiewicz, a do dzisiaj robią to: rektor Uniwersytetu Warszawskiego — Grzegorz Białkowski czy choćby genetyk Krzysztof Boczkowski. Ba, wiersze pisywał nawet sam Karol Wojtyła, który był przecież wykładowcą w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wydany zatem w Zielonej Górze zbiorek wierszy Wojciecha Pasterniaka teoretyka nauczania literatury, nie jest zaskoczeniem, jest raczej potwierdzeniem, iż profesor nie tylko potrafi mówić o literaturze, ale także ją tworzyć.

Wiersze Pasterniaka są bardzo delikatne, ulotne, jakby zawieszone ponad przeżywaną rzeczywistością. Poeta notuje wszystkie te stany, które odkrywają przed nim subtelność i tajemniczy powab świata:

„Oto wieczór kłujących świateł
Kurczy się ziemia czerniejąca
Okna wędrują w głąb domu
Z posiwiałym księżycem trudny dialog"

(Wieczorem)

Jest to poezja bardzo zmysłowa, pełna światła i aż boleśnie dotykalnych rekwizytów, wrażliwa na dźwięk i zapach przestrzeni. Pasterniak w swoich lirykach stara się unieśmiertelnić w słowie chwile przedziwnej pełni i jedności z naturą. Wspominając swój pobyt na Kubie, w zdziwieniu a zarazem zachwyceniu relacjonuje:

„Byłem powietrzem
Byłem oceanem
Byłem słońcem
Zatrzymywałem każdy dzień i noc
Słuchałem kwiatów lotosu
Kwitnących bambusów
Słuchałem jak grało Varadero
W falującej tęczy
Nic nie mówiąc
Odpowiadałem na najtrudniejsze pytania"

(Wspomnienia z Kuby)

Pobrzmiewają tu wyraźnie tony filozoficzne, mądra zaduma nad ludzkim bytem, nad istotą świata i rzeczy. Zachwyt — podobnie jak u Miłosza — pojmowany jako zdziwienie, staje się dla poety jakby narzędziem poznania. A jednocześnie jego najintymniejszą cząstką, tym co wyróżnia i odróżnia, tym co odsłania ukryte sensy i tym wreszcie, co każe zamyślić się nad drogami ludzkiej egzystencji. Pasterniak mówi językiem prostym, ale w tej prostocie zawiera się mądrość najgłębsza, pierwiastkowa. Gdy wspomina swój dom, sędziwą matkę czy ojca, stara się wtopić w wiersze — ich życie w ogólny etos człowieczeństwa. I urastają rodzice poety do miana bohaterów jakiegoś wielkiego, wszechogarniającego mitu, wykraczają poza ramy zwykłego bytowania i stają się — czytelną najpełniej dla samego poety — metaforą trwania:

„Nasz dom rodzinny
Naftowy kącik
Na nóżce lampy okopconej
Matka w uśmiechu pomarszczonym
Podaje do łóżka
Najlepszy kęs swego przywiązania
Ojciec podparty okularami
Słucha obrazów niewidzialnych
Wszystko
Nawet stare ściany i meble
Zamykały nas w tym słowie
Którego nawet teraz nie odważę się wypowiedzieć"

(Nasz dom rodzinny)

Wiersz jest dla Pasterniaka tajemniczą soczewką, która potrafi ukazywać jakby w przybliżeniu i zagęszczeniu wszystko to, co dla oka zwykłego człowieka jest niedostrzegalne. Patrząc wierszem i poprzez wiersz poeta sięga aż tam, gdzie, *„za horyzontem / Aż za sinym brzegiem / Gdzie słońce nie złoci / I nie srebrzy księżyc / Jest pamięć wszystkich modlitw / I wszystkich cierpień / Żyją oczy umarłych / Dzwony wybuchają na wieczne odpoczywanie / Bielą się twarze i kości"* (...) Patrząc tak daleko — spogląda autor do wnętrza człowieka. Widzi całą jego ubogą duchowo posturę. Wtedy czuje smutek, tak głęboki i gęsty, że nawet łzy, tandetne i prawdziwe, nie mogą go ukoić. Wsłuchuje się wtedy w groźne i piękne, brunatne brzmienie muzyki lipskiego kantora:

„Grają organy nieskończoności
Rozpoznajemy ją tylko niepokojem"
Rytm mieni się brązem
Wznoszą się kościelne kadzidła
Znikamy w dymie przeznaczenia."

(Muzyka J.S. Bacha)

Wtedy poeta powiedzieć może: *„niech płynie woda / Jeszcze żyję"*. Oto prośba o jedność i przesłanie prawdziwej pełni...

DARIUSZ TOMASZ LEBIODA

Wojciech Pasterniak. **Dobroć powietrza,** WSP Zielona Góra 1988.

TEATR

Zakochani na scenie lalek

Wiele się pisze o kolejnych kryzysach sceny dramatycznej Lubuskiego Teatru — mniej natomiast, lub wcale o jego scenie lalkowej. A przecież i lalkarze przeżywali swoje kryzysy, toczyli boje przeciwko swoim kierownikom lub stawali solidarnie za nimi. Od lat toczyła się walka o emancypację sceny lalkowej, która zakończyła się połowicznym zwycięstwem; scena lalkowa uzyskała własną siedzibę w budynku po byłym klubie „Relax".

Teatrowi emancypacja „lalek" nie jest na rękę, gdyż właśnie ta scena ma najwięcej widzów i najszybciej wykonuje plany kasowe i frekwencyjne. Przy wszystkich kłopotach lalkarze nigdy nie narzekali na pustą widownię i brak sympatii ze strony widzów. Młody widz potrafi być najwierniejszy, ale też jest widzem najbardziej wymagającym.

W celu wzmocnienia zespołu lalkowego teatr przyjął ostatnio grupę adeptek i adeptów, którzy zamierzają w przyszłości podjąć ryzyko uprawiania tego zawodu. Młodzieży dano szansę zaprezentowania swoich umiejętności w czterdziestominutowym spektaklu „Zakochani". Jak całą rzecz określono w informacji na plakacie są to „estradowe interpretacje na temat Peyneta". Trudno w tym przypadku mówić o pełnospektaklowym utworze scenicznym, całość składa się z trzech etiud powiązanych wspólnym tematem. A tym tematem jest miłość przedstawiona w trzech porach roku będących metaforą ludzkiego wieku; tak więc na scenie obserwujemy wiosenne zaloty chłopca, lato młodej pary i jesień staruszków. Przygody bohaterów ukazywane są przy pomocy lalek animowanych przez aktorskie pary. Trzeba przyznać, że scenariusz został bardzo trafnie dobrany do umiejętności początkujących aktorów. Zadania aktorskie są w miarę proste, a dzięki młodym wykonawcom i fachowej reżyserii Krzysztofa Rau, ze sceny emanuje spontaniczność i świeżość.

Przedstawienie jest zrealizowane lekko i dowcipnie, nie ciąży na nim skaza pseudofilozofii, o co nie było trudno przy okazji takiego tematu. Młodzież jest w tym przedsięwzięciu skutecznie wspierana przez „weteranów", między innymi Ludwika Schillera i Jana Wysockiego. Przy okazji nasuwa mi się jedna uwaga; nie rozumiem dlaczego Schiller i Wysocki nie animują postaci chłopca w scenie pierwszej? Takie rozwiązanie byłoby logiczne i korzystne dla spektaklu, skoro ci aktorzy w scenie drugiej oraz trzeciej przedstawiają postać mężczyzny i robią to bardzo dobrze. Może właśnie dlatego w scenie wiosennej jest trochę chaosu czy też brudu, jak to nazywają fachowcy.

Młodym aktorom należą się gratulacje za udany debiut, a kierownictwu za obranie właściwej drogi rozwoju młodych kadr. Dalej trzeba tak samo: ostrożnie jak z jajkiem i coraz wyżej.

PIOTR PIOTROWSKI

„Zakochani". Reżyseria: Krzysztof Rau, scenografia: Adam Kilian. Premiera na scenie kameralnej Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze 29 maja 1988 r.

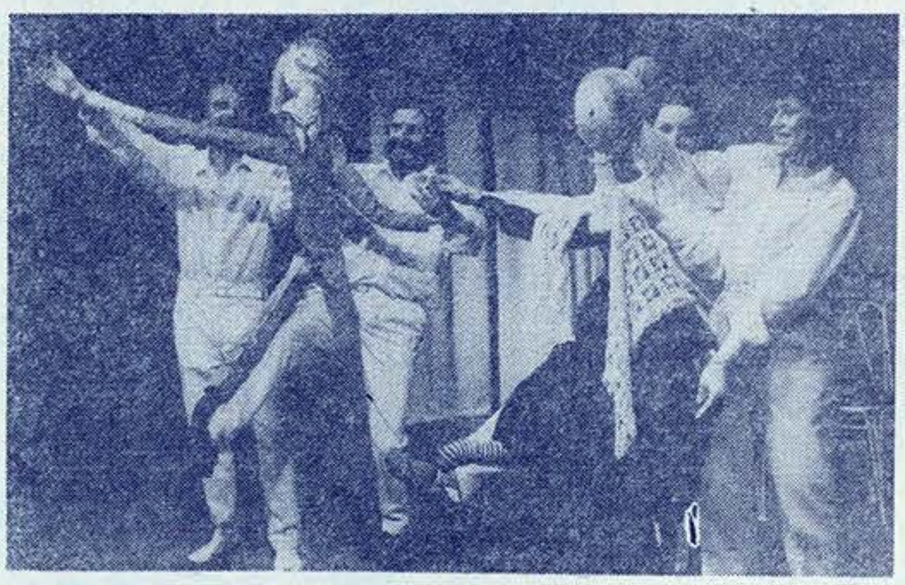

Na zdjęciu: Scena z „Zakochanych"; od lewej Jan Wysocki, Ludwik Schiller, Barbara Kwec-Dąbrowska, Urszula Karcz.

WIDEO KLUB

Filmy na lato

Księżyc nad Brooklynem

Kiedy księżyc wisi nad Brooklynem, ludzi ogarnia podniecenie. Dziadek wędruje po nocnych knajpach, ojciec zamienia się w Casanovę. Jedynie córka Loretta Castorini, wdowa, zbliżająca się do 40-stki, po życiowych doświadczeniach pragnie tylko spokoju i dlatego zaręcza się z nudziarzem Johnnym Cammereri. Jednak pewnej księżycowej nocy spotyka kogoś, kto ma na imię Ronnie i zamiast wyjść rozsądnie za mąż, zakochuje się bez pamięci.

Akcja rozgrywa się w środowisku nowojorskich Włochów. „Norman Jewison, który w ostatnich latach kręcił filmy problemowe, zrobił teraz film bez większego problemu, ale za to z talentem" — pisze zachodnia prasa o reżyserze, określając równocześnie grę Cher w roli Loretty jako porywającą i brawurową. Warto wspomnieć, że obok Cher uznanej za najlepszą aktorkę roku i laureatki Oscara, gra Olympia Dukakis (bliska krewna Michela Dukakisa ubiegającego się o fotel prezydencki USA), skromna aktorka teatru w New Jersey, która także otrzymała Oscara za najlepszą rolę drugoplanową w tym filmie. Tytuł „Moonstruck" — „Lunatycy".

Horror na prowincji

Jakiś zboczeniec snuje się wokół jarzącego się światłami domu na prowincji, w którym mieszka młoda i śliczna Juliette. Kobieta patrzy na intruza przez okno, wymienia z nim spojrzenia i mimo woli zaczyna myśleć o śmierci. Mężczyzna ten, imieniem Robert, gdziekolwiek skieruje swe nekrofilskie źrenice, tam jawi się śmierć. Od chwili poznania się tych dwojga, na ekranie zaczyna się wielkie umieranie. „Oglądając filmy Chabrola, nawet w dobrze przewietrzonym pokoju, czuje się zapach świec i zwiędłych kwiatów przy trumnie" — pisze zachodnia prasa. Widz podczas oglądania dostaje gęsiej skórki. W tym ponurym thrillerze główne role grają Mathilde May, Christophe Malavoy i Jacques Penot. Reżyser Claude Chabrol, twórca pamiętnych „Parasolek z Cherbourga" nakręcił ten horror pod wpływem powieści Patricii Highsmits i fantazji Hitchcocka. Tytuł z francuskiego tłumaczy się „Krzyk pucnacza".

Hotel w Szanghaju

Grudzień 1941 roku. Japońska flota stoi u wybrzeży Szanghaju. W stojącym w pobliżu wielkim hotelu, zamieszkałym przez Brytyjczyków, panuje niepokój. Chłopczyk imieniem Jim obserwuje japońskie okręty, widzi ich sygnalizację świetlną, i dla zabawy wysyła też własne sygnały. Wkrótce hotel zostaje ostrzelany. Mały Jim już wie, że gdy trwa prawdziwa wojna, nie wolno w nią bawić się dzieciom.

„Ma już po 40-stce, lecz nie chce być dorosłym. Wciąż pozostaje chłopcem, który lubi bawić się jedną zabawką. Jest nią kino" — piszą krytycy o Stevenie Spielbergu i dodają, że reżyser ten przy pomocy swej gigantycznej zabawki, uczy patrzenia na świat. Na przykładzie Jima ukazuje, jak trudno jest dziecku zrozumieć świat dorosłych — zawiły, bezwzględny i okrutny. Grają: Christian Balę, John Malkovich, Miranda Richardson i inni. Tytuł „Królestwo słońca".

Demony sprzed stu lat

Rosja, rok 1870. Wąskie uliczki prowincjonalnego miasteczka. Sprawy ludzi bogatych i biednych, dobrych i złych. Oficer wojska zdradzany przez narzeczoną. Student skazany na śmierć i walczący o życie najbliższej mu osoby. Arystokrata opuszczający bez słowa ukochaną. W fabryce strajkują robotnicy. W mieszkaniu szacownego profesora buszuje policja. Ogólny triumf złego. Fanatyzm, żądza władzy. W tym małym miasteczku szaleją demony. Koszmary nocne towarzyszą ludziom w snach i nie znikają z nastaniem ranka. Wszystko spowija szara mgła, która wkrada się też w serca, umysły i dusze bohaterów.

„Francuz Jean Claude Carriere przerobił tysiąc stron powieści „Biesy" Rosjanina Fiodora Dostojewskiego na scenariusz, a Polak Andrzej Wajda zrobił z tego dwugodzinny dramat" — pisze zachodnioniemiecki krytyk, wyrażając się o samym filmie dość sceptycznie. Grają: Omar Sharif i Lambert Wilso a także Jerzy Radziwiłłowicz (rola tytułowa), Bogusz Bilewski, Zbigniew Zamachowski, Tadeusz Łomnicki i inni. Polski tytuł: „Szatow i demony".

Kto kogo kocha i dlaczego?

Howard kocha Lane, Lane kocha Petera, Peter kocha Stephanie, a Stephanie — aby zamknąć ten czworobok — powinna kochać Howarda. Jest jednak inaczej, bo Stephanie kocha Lane. Wynika to z jej zaburzeń psychicznych, spowodowanych tym, że przed laty, będąc 14-letnią dziewczynką, Stephanie zamordowała kochanka swej matki. Kiedyś zdarzyło się to w Hollywood na prawdę: 14-letnia córka blond gwiazdy Lany Turner zamordowała jej kochanka, czyżby wątek wzięty z życia?

Na dolegliwości psychiczne i wszelkie stressy najlepszym lekiem jest grupowa psychoterapia — i reżyser Woody Allen taką właśnie terapię widzom zaleca i serwuje. Świetna Mia Farrow, żona reżysera, pamiętna u nas zwłaszcza z filmu Romana Polańskiego „Dziecko Rosemary", ponadto Diane Wiest i Elaine Stritch. Tytuł „September" — „Wrzesień".

Czarny Książe piosenki

Jeden mężczyzna, dwie piękne i młode kobiety oraz czternaście piosenek. Wszystko to w scenerii kulis wielkiego miasta. Kulisy zrobione są z papier-mache, ale to nie przeszkadza widzom. Są nimi przede wszystkim zagorzali wielbiciele Księcia, którzy jego niebywały talent stawiają wyżej, niż nawet produkcje Michaela Jacksona.

„Muzykalność Prince'a jest wprost sensacyjna, a jego umiejętności taneczno-akrobatyczne zapierają dech w piersiach" — pisze zachodnioniemiecki miesięcznik „Tempo", dodając, że „jest przy tym Prince nieprawdopodobnie seksowny!"

W filmie wykorzystano najlepsze numery z koncertu, który odbył się kiedyś w Rotterdamie. Nagrania pochodzą z podwójnej płyty Prince'a „Sing'O, The Times". Sensację w tym filmie wzbudza także perkusista Sheila E., której solowych popisów mógłby pozazdrościć niejeden muzyk rodzaju męskiego.

Prince wije się po scenie jak w transie, oplatając ciałem to towarzyszące mu kobiety, to stojaki od mikrofonów, to gitarę, aż w momencie szczytowym zespala się niemal ze swą tancerką Cath. „Jest to najlepszy porno-film w tym sezonie, a zarazem najlepszy film muzyczny, jaki ukazał się w ostatnim czasie" — pisze „Tempo". Na ekranie poza Princem, Sheilą E. i Cath, pokazuje się jeszcze wiele innych osób. Reżyseria Prince. Tytuł oryginalny wzięty z longplaya: „Sing'O'The Times".

Krew na dywanie

Czarna jest krew w świetle księżyca. Czerwona w pełnym świetle, na dywanie. Obraz w sumie makabryczny. Zdarzyła się zbrodnia. Zamordowane zostały dwie rodziny. Reżyser pokazuje jedynie miejsce zbrodni. Ciała ofiar już uprzątnieto. Mimo to tak potrafi działać na wyobraźnię, że widzów nie opuszcza strach. Sprawę bierze w swe ręce Will Graham, ex-glina i specjalista od wyświetlania kryminalnych tajemnic; który gdy ujął zbrodniarza-psychopatę, poczuł, że nerwy ma nie w porządku i wycofał się z czynnej służby.

W dalszym ciągu filmu reżyser już nie oszczędza widza, napawając go totalnym przerażeniem. Kiedy i morderca ma romans z bezbronną, niewidomą kobietą, pewne się staje, że — jak pisze krytyk filmowy w „Sternie" — reżyser pragnie tylko jednego: wykończyć widzów nerwowo.

Reżyseria Michael Mann. Grają: William L. Petersen, Kim Greist, Brian Cox, Joan Allen. Tytuł „Blutmond" — „Krawy księżyc".

Reżyser i aktor WOODY ALLEN

Lubuskie nagrody '88

Wojewoda Zielonogórski Zbyszko Piwoński wręczył tegoroczne Lubuskie Nagrody Kulturalne, Naukowe i po raz pierwszy również Techniczne. Otrzymali je: **Nagrodę Kulturalną I stopnia** — Teofor Adamus, urbanista, za całokształt działalności w kształtowaniu przestrzennym miast i zespołów osadniczych; Zbigniew Jan Kmiecik, architekt, za całokształt działalności w kształtowaniu architektoniczno-przestrzennym miast; Narcyz Żołnowski, artysta-muzyk i kompozytor, za wyróżniające osiągnięcia kompozytorskie i artystyczne oraz upowszechnianie muzyki, **Nagrodę Kulturalną II stopnia** — Agata Buchalik-Drzyzga, artysta-plastyk, za osiągnięcia twórcze, dydaktyczne i upowszechnieniowe w dziedzinie plastyki; Scholastyka Dokowicz, zastępca dyrektora Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze, za działalność w zakresie rozwijania bibliotekarstwa i upowszechnianie książki; Kazimierz Gancewski, dyrektor Domu Kultury w Świebodzinie, za inspirowanie i wdrażanie nowatorskich form aktywizacji kulturalnej miejscowego społeczeństwa; Włodzimierz Kwaśniewicz, dyrektor Lubuskiego Muzeum Wojskowego w Drzonowie koło Zielonej Góry, za dokonania twórcze i upowszechnieniowe w dziedzinie broniozna stwa oraz wyróżniającą się aktywność społeczno-kulturalną; Janina Nowak, dyrektor chóru żeńskiego „Polirytmia" przy Wojewódzkim Młodzieżowym Domu Kultury „Dom Harcerza" w Zielonej Górze, za osiągnięcia twórcze i upowszechnieniowe w dziedzinie muzyki chóralnej; Stanisław Tworowski, prezes Brodzkiego Towarzystwa Kultury w Brodach, za osiągnięcia w aktywizacji społecznego ruchu kulturalnego i edukacji kulturalnej młodzieży; **Nagrodę Naukową I stopnia** — Tadeusz Biliński, prodziekan Wydziału Budownictwa i Inżynierii Sanitarnej WSI w Zielonej Górze, za osiągnięcia badawcze w zakresie prefabrykatów i konstrukcji zespolonych; Władysław Korcz, działacz Lubuskiego Towarzystwa Naukowego w Zielonej Górze za osiągnięcia w badaniach dziejów środkowego Nadodrza; **Nagrody Naukowe II stopnia** — Helena Harajda, prodziekan Wydziału Matematyki, Fizyki i Techniki WSP w Zielonej Górze, za osiągnięcia w badaniach naukowych w dziedzinie akustyki; Jerzy Kotowski, pracownik naukowy WSI w Zielonej Górze, za osiągnięcia badawcze w zakresie glacitektoniki środkowego Nadodrza; **Nagrodę Techniczną I stopnia** — Zbigniew Szymański, dyrektor POM w Starym Kisielinie, za wdrożenie produkcji kontenerowej oczyszczalni ścieków ELJOT — 150; Walerian Soliński i Michał Chmielewski, pracownicy Dolnośląskich Zakładów Metalurgicznych „Dozamet" w Nowej Soli, za wdrożenie do produkcji kotła centralnego ogrzewania ECA IV MN; **Nagrody Techniczne II stopnia** — Ireneusz Dzwonnik, dziekan Wydziału Mechanicznego WSI w Zielonej Górze, za opracowanie technologii eliminującej pył węglowy z piaskowych form odlewniczych; Edward Kowal, kierownik Zespołu Ergonomii Przemysłowej Instytutu Techniki WSP w Zielonej Górze, za nowatorskie rozwiązania techniczne i upowszechnianie wiedzy technicznej; Ferdynand Romankiewicz, prodziekan Wydziału Mechanicznego WSI w Zielonej Górze, za osiągnięcia w badaniach nad krystalizacją i modyfikacją metali i stopów.

Stypendia twórcze ustanowione przez Wojewódzką Radę Narodową w Zielonej Górze przyznano Henrykowi Ankiewiczowi — dziennikarzowi, Małgorzacie Bukowiecz, Józefowi Cygankowi — artystom-plastykom, Andrzejowi Toczewskiemu — historykowi oraz literatom — Pawłowi Wiktorskiemu i Mieczysławowi J. Warszawskiemu.

Uroczystość wręczenia nagród odbyła się tradycyjnie w sali witrażowej Muzeum Ziemi Lubuskiej, w obecności Krzysztofa Kaszyńskiego — sekretarza KW PZPR w Zielonej Górze, przedstawicieli stronnictw politycznych, środowisk twórczych organizacji oraz placówek kultury i oświaty. Laureatom serdecznie gratulujemy.

„Skarb 1000-lecia"

„Skarbem 1000-lecia" nazwano srebrne monety i XIV-wieczne wyroby ze złota odkryte podczas robót ziemnych prowadzonych w centrum Środy Śląskiej. Znalezienie tego skarbu, przywłaszczenie go przez różne osoby a następnie częściowe odzyskanie przez MO, to temat na niejeden sensacyjny reportaż, może także na film fabularny o mentalności współczesnych Polaków. Kto żyw w Środzie, podawała prasa, ten szukał skarbów. Nie po raz pierwszy zresztą w tym starym, śląskim mieście, leżącym na ważnym kiedyś szlaku handlowym, odkryto drogocenne dla naszej kultury przedmioty. Już po znalezieniu „skarbu 1000-lecia" wrocławscy archeolodzy prowadząc badania w różnych częściach miasta odkryli m. in. denar bizantyjski i ostrogę z XIII wieku. Decyzją Prezydium WRN we Wrocławiu przeznaczono środki finansowe na dalsze, intensywne prace archeologiczne w Środzie Śl. Trwają zatem poszukiwania archeologiczne oraz ... prace dochodzeniowe. Oby te pierwsze prowadzili wyłącznie archeolodzy. Drogocenne przedmioty powiększą zbiory wrocławskich muzeów.

Z nad odrza

„Spectrum" laureatem

Działająca przy Estradzie Ziemi Lubuskiej wokalno-muzyczna grupa „Spectrum" odniosła kolejny sukces. Na festiwalu „Ludzie i morze" w Rostocku, w którym wystąpiły zespoły z 17 państw, „Spectrum" otrzymał II nagrodę za interpretację wykonanej w języku angielskim piosenki „Charlie the Bird", do której słowa napisał — Jerzy Sieman, a muzykę — Janusz Koman. Kierownikiem muzycznym zespołu jest Zdzisław Zieliński. Do licznych gratulacji dołącza się również nasza redakcja.

„Spectrum" wystąpiła na Festiwalu Piosenki Polskiej w Witebsku oraz na koncertach w różnych miastach Związku Radzieckiego.

O twórcach — amatorach

Aktywnie działają liczne na Nadodrzu oddziały Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Kilku ciekawych literatów i plastyków zrzeszają oddziały tego Stowarzyszenia przy Kombinacie Górniczo-Hutniczym Miedzi w Lubinie, a także w Zielonej Górze, o którym napiszemy oddzielnie. Od paru lat podobna grupa pracuje przy Miejsko-Międzyzakładowym Domu Kultury w Kostrzynie, nad którą patronat sprawują tamtejsze Zakłady Papiernicze. Tradycyjnie już oddział Stowarzyszenia w Gorzowie Wlkp. zorganizował w ośrodku wypoczynkowym ZWCh „Stilon" w Lubniewicach tzw. warsztaty artystyczne, w których, jak poprzednio, oprócz twórców-amatorów z różnych regionów kraju, wzięli udział zawodowi krytycy. W tradycyjnym też turnieju jednego wiersza dwie pierwsze nagrody zdobyli: Kazimierz Jankowski, poeta o sporym już dorobku literackim, autor wydanego ostatnio przez RSTK w Poznaniu poematu „Słowa niekochane" oraz Irena Zielińska, zaś drugą Barbara Trawińska, również od dawna publikująca swoje wiersze.

uzenia medykamentu. Tu już nie wyazano tyle naiwności i po zawiadoieniu MO przez personel apteki, Wieaw G. został ujęty. Należy dodać, że ie było to jego pierwsze przestępwo, tego typu, za które był już w rzeszłości karany.

PROKURATORSKA KONTROLA

W związku z opisanymi wydarzenia i Prokuratura Wojewódzka w Zielonej Górze wspólnie z prokuratorami rejonowymi w Świebodzinie, Krośnie Odrzańskim i w Żaganiu przeprowadziła kontrolę przestrzegania przepisów normujących przechowywanie i wydawanie środków odurzających i psychotropowych w 8 aptekach ogólnie dostępnych i szpitalnych w województwie. W kontroli brał udział Inspektor Wojewódzki ds nadzoru farmaceutycznego. Nie stwierdzono istotnych uchybień w tej dziedzinie z wyjątkiem zastrzeżeń, kie zgłoszono pod adresem apteki szpitala Rejonowego w Żaganiu. Istniejący tam system zabezpieczający jest mało skuteczny, ponieważ czujniki elektroniczne są zamontowane w drzwiach i oknach wychodzących do wewnątrz szpitala, natomiast okna i drzwi od strony Bobru są wyposażone w kraty zamykane na kłódki, które można wyłamać, z czego już kiedyś skorzystali przestępcy. W tej sprawie Prokurator Rejonowy wystąpił do dyrekcji ZOZ w Żaganiu, domagając się modyfikacji niezbędnych zabezpieczeń.

W następnym odcinku informacje na temat walki z alkoholizmem na terenie zakładów pracy.

LEX

iego i Tatarkiewicza (wielkich autorytetów moralnych!!) z nazwiskiem Wojciecha Pasterniaka!

Chyba już dawno nie było w naym piśmiennictwie tak smakowitego ską!

OBÓZ

Ciąg dalszy ze str. 3

tko potrzebne, zgodne z linią i dobrze zorganizowane.

Tylko jednego pomysłu nie dało się zorganizować. Komendant nakazał płochym dziewojom przepisać ręcznie w kilkunastu egzemplarzach tekst hymnu ZSMP i rozdać go pomiędzy ludzi, aby poćwiczyli trochę na sucho, póki nie znajdzie się ktoś, kto dokładnie będzie znał melodię. Sam komendant nie mógł śpiewać, gdyż ryczał jak zraniony bawół. Do końca obozu nie znaleziono nikogo, kto pomógłby zrealizować marzenia komendanta: Niedziela, w dwuszeregu zbiórka, uroczysty apel, młodzież radośnie śpiewa hymn swojej organizacji. Wiatr niesie melodię w dal, ku polom, łąkom, wsiom i miastom...

„Kokokokokomunikaty..."

— Popieramy inicjatywę dalszego rozwoju bazy obozu ZSMP w ramach Akcji Lato na naszym terenie. Ze swej strony deklarujemy pomoc. Należałoby zabezpieczyć w przyszłym roku lepszą infrastrukturę i zadbać o pełniejszą współpracę z jednostką wojskową, od której otrzymano namioty, łóżka i koce. Trzeba też zaktywizować nasze środowisko organizacji młodzieżowych. (Wypowiedź naczelnika MiG w D.).

— W przyszłym roku obóz ZSMP przeniesiony zostanie do innej miejscowości, najprawdopodobniej do P. (Wypowiedź wojewódzkiego działacza ZSMP).

„Do widzenia, do widzenia, kup sobie trąbkę do..."

Wyjeżdżam już z D. Stoję na przystanku. Na środku rynku para kundli uskutecznia namiętne amory. Przy kontenerze-strzelnicy stoi kilku młodzieńców w czarnych kurtkach. Może to ci podrabiani sataniści, o których głośno w miasteczku? Dziewczyna żegna się z chłopakiem. Przez drzwi restauracji usiłuje wytoczyć się para pijanych jegomości. Mój autobus spóźnia się pół godziny.

Przez okno widzę jak likwidują ozdoby na drodze, którą szła pielgrzymka. Sznurek zwisa do samego chodnika.

Silnik warczy. Słońce tryska pełną jasnością na łany żyta.

Obóz zostaje w tyle.

1987 r.

DARIUSZ MUSZER

nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-958 Zielona Góra skrytka pocztowa nr 49. Telefony, redaktor naczelny i sekretariat 708-35, sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 7 (łączy telefony wewnętrzne) Telex 0432258. Redaguje zespół: Halina Ańska-Skarbek, Leszek Hermanowicz (red. graf. tech), Janusz Koniusz, (red. naczelny), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. nacz.) Wiesław Nodzyński (sekretarz

70 LAT ODRODZONEJ POLSKI

WAKACYJNY KONKURS NASZEGO PISMA.

Główna nagroda: dwuosobowe wczasy świąteczno-noworoczne w Karkonoszach ufundowane przez Biuro Podróży „Lubuszanin" w Zielonej Górze. Ponadto wiele nagród rzeczowych i książkowych, które fundują Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy i Lubuskie Towarzystwo Kultury w Zielonej Górze.

1

Na wytyczenie zachodnich i północnych granic międzywojennej Polski wpłynęły Powstanie Wielkopolskie oraz trzy powstania śląskie. „Bracia — pisał wychodzący na Śląsku „Powstaniec" — pokażcie mi taką część Rzeczypospolitej, w której lud roboczy i wiejski zerwał się tak powszechnie, tak ochoczo do walki w obronie wolności..."

Pytanie: Wymień dwie miejscowości, w których znajdują się pomni[illegible] monumenty poświęcone powstaniom śląskim.

2

„— Stoję na straży honoru Wojska Polskiego.

— No, no. Tylko nie w ten sposób.

— Ja tutaj reprezentuję Polskę. Żądam skierowania swych pretensji na drogę legalną. Żądam kategorycznej odpowiedzi na odezwę rządu.

— Dla mnie droga legalna zamknięta... No, chłopcy, chyba mnie przepuścicie.

Zrozumiałem to jako chęć buntowania żołnierzy przeciwko rządowi w mojej obecności. Dlatego idąc do swego samochodu zawołałem:

— Żołnierze, spełnijcie swój obowiązek".

Pytanie: a. Wymień imiona i nazwiska osób prowadzących ten dramatyczny dialog. b. W którym miesiącu i roku miało miejsce powyższe wydarzenie?

3

Wkrótce minie 100 lat od urodzin tego wybitnego działacza gospodarczego i polityka. Z jego nazwiskiem wiążą się największe przedsięwzięcia gospodarcze międzywojennej Polski — Gdynia i Centralny Okręg Przemysłowy.

W latach 1945-47 był kierownikiem Delegatury Rządu dla Spraw Odbudowy Wybrzeża.

Pytanie. Wymień jego imię i nazwisko oraz przynajmniej jedną z funkcji, którą sprawował w rządzie międzywojennej Polski?

4

Kiedy przyjdą podpalić dom,
ten, w którym mieszkasz — Polskę,
kiedy rzucą przed siebie grom,
kiedy runą żelaznym wojskiem
i pod drzwiami staną, i nocą
kolbami w drzwi załomocą —
ty, ze snu podnosząc skroń,
stań u drzwi.
Bagnet na broń!
Trzeba krwi!

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,
obca dłoń ich też nie przekreśli,
ale krwi nie odmówi nikt:
wysączymy ją z piersi i z pieśni.
Cóż, że nieraz smakował gorzko
na tej ziemi więzienny chleb?
Za tę dłoń podniesioną nad Polską —
kula w łeb!

Pytanie: a. Kto napisał ten wiersz? (cytujemy fragment). **b. W którym roku został on po raz pierwszy opublikowany?**

REGULAMIN

Konkurs składa się z czterech zestawów pytań. Pierwszy opublikowaliśmy w poprzednim, dwa następne opublikujemy w kolejnych numerach „Nadodrza". Aby wziąć udział w losowaniu nagród, wystarczy prawidłowo odpowiedzieć na pytania zawarte w jednym tylko zestawie — wyłącznie na drukowanym niżej kuponie. Nadesłanie większej ilości kuponów (także w jednej kopercie) zwiększa szansę w losowaniu nagród.

Wypełnione kupony prosimy przesyłać na adres: Redakcja „Nadodrza", 65-958 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40, z dopiskiem „Konkurs wakacyjny" Czytelnicy, którzy nie zechcą czekać na ostatni zestaw pytań, mogą zaraz nadsyłać odpowiedzi a ich przyjmowanie zakończymy 20 września br. Wyniki losowania nagród ogłosimy w numerze 20/677, który ukaże się z datą 2-15 października br.

Życzymy powodzenia!

REGULAMIN

Konkurs składa się z czterech zestawów pytań. Trzy zestawy opublikowaliśmy w poprzednich numerach, obok — ostatni. Aby wziąć udział w losowaniu nagród, wystarczy prawidłowo odpowiedzieć na pytania zawarte w jednym tylko zestawie, wyłącznie na drukowanym niżej kuponie. Nadesłanie większej ilości kuponów (także w jednej kopercie) zwiększa szansę wylosowania nagród.

Wypełnione kupony prosimy przesyłać na adres: Redakcja „Nadodrza", 65-958 Zielona Góra, skrytka poczt. nr 40, z dopiskiem „Konkurs wakacyjny". Przyjmowanie odpowiedzi zakończymy 20 września br. (decyduje data stempla pocztowego). Wyniki losowania nagród ogłosimy w numerze 20/677, który ukaże się z datą 2—15 października br.

Życzymy powodzenia!

nadodrze
Rozrywki umysłowe

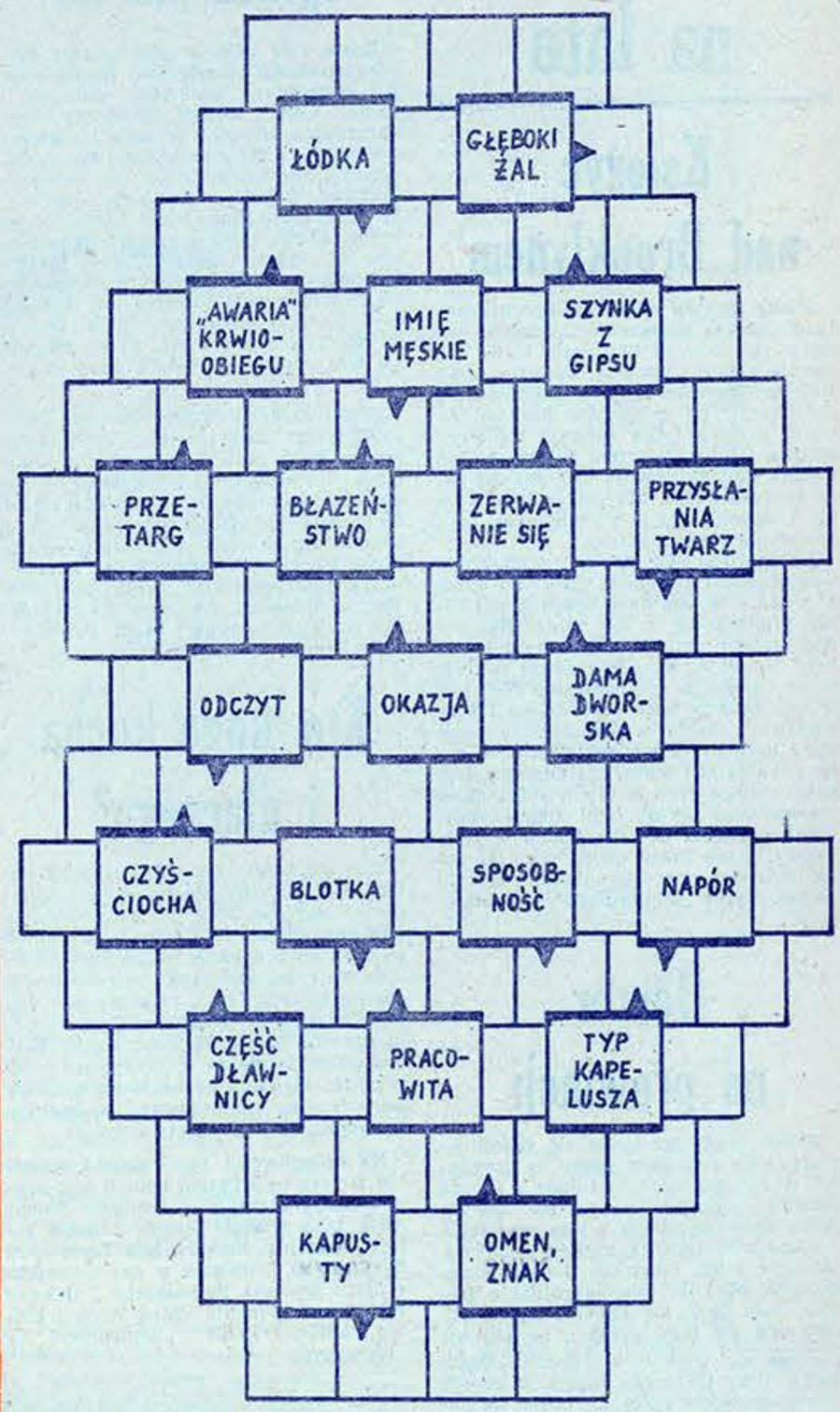

WIROWKA

Oprac. Wiesław Pyżewicz
Zielonogórski Klub Szaradzistów „LABRYS"

Kierunek wpisywania wyrazów prawoskrętny. W rozwiązaniu wystarczy podać ile razy w diagramie wirówki występują litery: B, O, R. Wśród Czytelników, którzy nadeślą na adres naszej redakcji odpowiedzi w terminie dwóch tygodni od daty ukazania się numeru, z naklejonym na kopercie zamieszczonym poniżej kuponem, rozlosujemy nagrody książkowe wartości 1000 i 500 zł.

Krzyżówka z nr 12...

...zawierała hasłowe błędy, powodujące niekrzyżowanie się wyrazów. Wszystkich zainteresowanych serdecznie przepraszają autor oraz Klub „LABRYS".

Nagrody książkowe — losowaliśmy je uwzględniając błędne odpowiedzi — otrzymali: **Radomir Biliński**, zam. 66-134 Konotop 101 oraz **Jerzy Sulecki** zam. ul. Łazienna 13/6, 87-100 Toruń.

Rozwiązanie wirówki z nr 13

Karawana, karakurt, trójskok, Maranhao, Kostroma, harcerka, oratorka, Asztarte, korektor, rynsztok, paszkoty, korytarz, szatynka. Nagrody książkowe wylosowali: **Robert Buczyński**, zam. ul. Szprotawska 12 A/24, 68-100 Żagań oraz **Jan Małek** zam. ul. 1 Maja 13 B/11, 47-220 Kędzierzyn Koźle.

KUPON nr 15
ROZRYWKI UMYSŁOWE

Fot.: K. SZMAJS